

# IZAAK BABEL

# DZIENNIK 1920

Przełożył i wstępem opatrzył  
Jerzy Pomianowski

Czytelnik • Warszawa 1990

Opracowanie graficzne Jan Bokiewicz  
Fotografie w tekście z radzieckich zbiorów archiwalnych.  
Fotografia na okładce  
kadr z filmu „Odzyskanie niepodległości”,  
Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie.  
© Copyright for the Polish edition by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 1990  
ISBN 83-07-02178-2

Dzieje „Dziennika” Izaaka Babla nie są tak wstrząsające, jak ich treść, ale przecież pouczające. Przechowała je w Kijowie M. J. Owrucka; to u niej zatrzymywał się pisarz, gdy jeszcze jeździł w konkury do Żeni Gronfejn, córki hurtownika, która stała się jego pierwszą żoną. Tam też zostawił paczkę rękopisów po powrocie ze służby w Armii Konnej. Poszedł do niej na ochotnika; dokumenty na nazwisko Kirył Wasiliewicz Lutów wystawił mu Ingułow, przewodniczący odeskiego Gubkomu. Był korespondentem polowym gazety frontowej „Krasnyj Kawalerist”. Walczył w bitwach pod Brodami, Zamościem, Cześnikami. Paczka zawierała dwa nie zakończone opowiadania sprzed wojny oraz dwa bruliony. Jeden z nich, ściśle zapisany kopiowym ołówkiem, to właśnie ten dziennik. Prowadzony był od 3 czerwca do 15 września 1920 r., ale brak w nim 54 stron początkowych oraz 21 stron notatek, pisanych między 7 czerwca a 11 lipca. Mimo to, reszta jest świadectwem całkowicie wystarczającym do wytworzenia sobie pojęcia zarówno o prawdziwym charakterze wojny polsko-sowieckiej w jej kluczowym momencie, jak o wnikliwości i prawości tego pisarza. Więcej, dowiedzieć się z niej można sporo o wektorach jego późniejszego, przerażającego losu.

Aresztowano go 16 maja 1939 r., w Pieriedielkinie pod Moskwą. 26 stycznia 1940 r., trójka (Ulrich, Kandybin, Dimitriew), zasiadająca w gabinecie Berii w więzieniu Butyrki, skazała go na rozstrzelanie. Proces bez obroncy trwał 20 minut. Wyrok wykonano następnego ranka. W akcie oskarżenia mowa była nie tylko o trockizmie, szpiegostwie i aktach terrorystycznych, lecz także o tym, że „Armia Konna” jest dziełem dywersji i zdrady, paszkwilem na rewolucję i jej siły zbrojne, eksponującym gołosłownie „jedynie jaskrawe i okrutne epizody”. Ten właśnie zarzut gołosłownego i tendencyjnego szkalowania czerwonych Kozaków sformułował już w 1924 r. (a powtórzył w 1928 r.) ich dowódca Siemion Budionny. Tenorem wszystkich ataków krytycznych na Babla było odtąd twierdzenie, że „Armia Konna” jest produktem chorej fantazji. W. Wieszniew w artykule

*Dziennik 1920* pod znamienym tytułem „Poezja bandytyzmu” („Mołodaja Gwardia” 7-8, 1924 r.) pisał: „Babel opiewa wyłącznie okrucieństwa, jego bohaterowie wyglądają na bandytów i morderców”. Maksym Górki próbował ratować sprawę, pisząc, że nie znalazł w książce „nic z karykatury i paszkwilu”, że Babel pisał o swoich Kozakach „jak Gogol o Zaporozcach”, co jest świętą prawdą. Pomogło to na krótko i w końcu niewiele. Gładki mit miał zastąpić chropawą prawdą. Miał służyć nie tylko gloryfikacji armii i zadań obrony, lecz także pochwalę wojny, jako sposobu budowy imperium. Już w rozkazy Tuchaczewskiego z 2 lipca 1920 r. zawarte było zdanie, którego właściwym podmiotem miała być wtedy rewolucja, lecz brzemienne w tę właśnie treść: „na ostrzach bagnatów zaniesiemy szczęście i pokój pracującej ludzkości!” Babel zobaczył, jak to w praktyce wygląda. Lgnął do rewolucji, ale nie tak sobie wyobrażał jej środki, nie wierzył, że cel je uświęca i nie miał zamiaru krzewić mitów kosztem prawdy. „Armia Konna” jest rzadkim, bo udanym, przykładem budowy mitu bez fałszów. Swoim Kozakom autor nie ujmuje ani żdźbła okrucieństwa, dodaje im za to gorączki i rozmachu, co czyni z nich żywioł i przykład nieobliczalnych możliwości ludzkiej natury. Jest to chwyt romantyczny, w gruncie rzeczy, uwznioślający te postacie i nawet te dzieje. Tymczasem zaś oskarżano Babla o pomniejszanie bohaterów. Lakierników literackich (jak Wiszniewski, autor „Pierwszej konnej”) zastąpili w końcu oprawcy. Nawet po sądowej „rehabilitacji” zabitego pisarza (24.1.1954 r.) utwory jego nie miały łatwego życia — i dalej go nie mają. Wciąż ten sam ton rozbrzmiewa w atakach, tyle że do strażników sowieckiej mitologii doskoczyli wielkoruscy patrioci. Oleg Michajłow, autor patriotycznej powieści o Suworowie (przedstawionym jako rycerz postępu), w tomie szkiców „Wierność” (Moskwa 1974 r.) ujmuje rzecz najjaśniej: „fikcja literacka zaćmiła u Babla realny obraz świata, jego droga pisarska nie wiodła od życia do literatury, lecz w kierunku odwrotnym (...) na legendę o jego mistrzostwie złożyły się koloryzacja i niewiarygodność opisów, afektacja, werbalne efekciarstwo...”

Nic dziwnego, że w tej atmosferze uratowany „Dziennik” nie miał dużych widoków na publikację: był koronnym dowodem rzetelności faktograficznej warstwy „Armii Konnej” — i kłamliwości urzędowego mitu.

Antonina Pirożkowa, wdowa po Bablu i niestrudzona opiekunka jego dzieł, otrzymała (dzięki pomocy przyjaciółki Babla, Tatiany Stach) już lata temu kijowski pakiet. Była to właściwie jedyna odzyskana część całej puścizny rękopiśmiennej Babla. Z protokołu rewizji, przeprowadzonej w dniu aresztowania w moskiewskim mieszkaniu pisarza, wynika, że zabrano wtedy: „1. Różnorodnych manuskryptów — 15 skoroszytów. 2. Zapisanych brulionów — 11 sztuk. 3. Blok-notesów z zapiskami — 7 sztuk.” Mimo starań, nie została dotąd odzyskana i zwrócona ani jedna strona z nie wydanych dzieł pisarza, którego Mann uważał za najwybitniejszego z autorów sowieckich, a Hemingway — za mistrza krótkiego opowiadania, w ogóle bez konkurencji. W 1965 roku, w 74 tomie książkowej serii „Litieraturnoje nasledstwo”, wychodzącej w Moskwie, ukazały się szkice do „Armii Konnej” i fragmenty dziennika; pochodziły, oczywiście, z

kijowskich brulionów, ale stanowiły zaledwie ich część<sup>1</sup>. Jeszcze w 1987 r. trzy moskiewskie miesięczniki odmówiły po kolei publikacji „Dziennika”. Dopiero w 4 i 5 numerze z 1989 r. moskiewskiego miesięcznika „Družba narodów” (drukującego w zasadzie i przeważnie utwory pisarzy „mniejszości narodowych” ZSRR, ale coraz częściej odstępującego od tej zasady) ukazał się tekst „Dziennika” Babla, pt. „Nienawidzę wojny”. Jest to jednak wciąż tekst niepełny, co zaznaczone jest w podtytule i dobrze widoczne dzięki nawiasom i wielokropkom rozsiانym po stronicach. Część tych luk udało się tłumaczowi zapełnić; mógł wyłuskać kilka pominiętych fragmentów z przedmowy pióra Galiny Bielej. Tłumacz musiał również przekroczyć swoje uprawnienia, wchodząc na teren toponimiki. Nazwy miejscowości, w których Babel popasał na Wołyniu, mają na polskich mapach nieco inne brzmienie; Pełcza występuje w „Dzienniku” jako Płuczka, Zadwórze — jako Zadwurdze itd. Dla uściślenia tych i podobnych szczegółów okazała się pożyteczna konfrontacja tekstu ze wspomnieniami rotmistrza W. P. Kornela Krzczunowicza, z przyczynkami historycznymi, drukowanymi w „Pamiętniku Kijowskim” (publikowanym periodycznie przez Orbis Books w Londynie), a także z opowiadaniem Zygmunta Haupta (wydanymi przez Instytut Literacki w Paryżu).

Czytelnik zgodzi się, jak sądzę, że chodzi o dokument doniosły, a nadto uderzająco sugestywny literacko. Byłby wyjątkowym zjawiskiem, nawet gdyby jego autor nie zdążył z tych surowych notatek wysnuć nici tematycznej opowiadań. Ale tym większe sprawia wrażenie, że napisał go autor „Armii Konnej”, nowel odeskich i pierwszych, a nieprześcignionych opowiadań o dramacie sowieckiej wsi podczas przymusowej kolektywizacji. Polski przekład „Dziennika” Babla nie wymaga żadnych dłuższych komentarzy; już z chwilą ukazania się po polsku jego „Utworów wybranych” (Czytelnik 1961 r.) dla całej czytającej generacji Polaków ta proza weszła do żelaznego repertuaru lektur, tak, jakby była pisana w jej języku ojczystym. Bez tego dziennika nie poznalibyśmy ani tamtej książki, ani całej prawdy o sumieniu jej autora.

*J.P.*

---

<sup>1</sup> Prawie natychmiast polski przekład piszącego te słowa ukazał się w „Polityce” pt. „Pisane w siodle”.

### 12.7.20 Wołyń

Wieczór, złapali Polaka w życie, polują jak na zwierzynę, szerokie pola, szkarłatne słońce, złocisty kurz, kołysze się zboże, we wsi spęd bydła, różowe, pyliste drogi, zza obrębu perłowych obłoków — płomienne języki nadzwyczaj zwiewnych kształtów, pomarańczowe pożary, kurz wzbija się za furmankami.

### 16.7.20 Między Ostrogiem a Dubnem

Kondotierzy — czy jutrzejsi uzurpatorzy? Wyłonili się z kozackiej gromady, najważniejsze to opisać pochodzenie tych oddziałów, każdy Timoszenko czy Budionny sam dobierał sobie kadrę, przede wszystkim — sąsiadów ze stanic; teraz oddziałom nadała organizację sowiecka władza.

### 17.7.20 Liski

Jak strasznie żal! Zabili młodą matkę. Bój wzdłuż linii kolejowej na Liski. Rzeź jeńców.

18.7.20 Droga na Płauczę Jedziemy drożynami z dwoma szwadronami sztabu, zawsze towarzyszą naczdywowi, to doborowe oddziały. Opisać ozdobną uprzęż ich koni, szable w paśowym aksamicie, krzywe klingi, kamizele, dywany na siodłach.

### 20.7.20 Wzgórza za Smordwą.

#### Płaucza

Wyruszamy o piątej rano. Deszcz, ślota, ciągniemy lasami. Operacja rozwija się pomyślnie, nasz naczdyw<sup>1</sup> dobrze wytyczył kierunek, zachodzimy ich z flanki. Mokniemy, leśne dukty. Objazd przez Bokujmę na Płauczę.

Meldunki: o 10. zdobyta Dobry wódka, o 12, prawie bez oporu — Kozin. Ścigamy nieprzyjaciela, idziemy na Płauczę. Lasy, leśne dukty, szwadrony wiją się na przedzie.

Czuję się zdrowszy, nie wiadomo jakim cudem.

Obserwuję przyrodę Wołynia; wszędzie poręby, wyrąbane obrzeża lasów, ślady wojny, drut kolczasty, białe okopy. Majestatyczne zielone dęby, graby, dużo sosen, wierzba — co za wspaniałe i ciche drzewo, deszcz w lesie, rozmokłe drożyny leśne; jesion.

Duktami leśnymi do Płauczy. Wjeżdżamy przed 10. Jeszcze jedna wieś; koścista, wysoka gospodyni, marudzi — *niczoho ne maje*; bardzo czysto, miała syna w wojsku, daje nam jaj, nie ma mleka; w chacie nieznośnie duszno, deszcz pada, zatapia wszystkie drogi, czarne, chlupiące błoto, nie ma jak dojść do sztabu. Cały dzień siedzę w chacie, ciepło, a tam deszcz za oknem. Jakie nudne, jakie czcze jest dla mnie takie życie: kurczaki, ukryta krowa, brud, tępota. Nad ziemią smutek niewysłowiony, wszystko mokre, czarne, jesień, podczas gdy u nas w Odessie...

W Płauczy zagarnięto tabory 49. pułku polskiej piechoty. Podział łupów pod oknem. Zupełnie idiotyczne bluzgi, przy tym raz po raz. Inne słowa, jakby nudne, nie przechodzą im przez usta; napisać o przekleństwach: Boga mać, w gada mać; chłopaki aż się jeżą. Boga mać, dzieci pytają — co ci żołnierze tak klną? Boga mać. Bo zastrzele; a wal!

Mnie przypada płócienny worek i torba do siodła. Opisać to zmacone życie. Chłopak nie idzie do roboty w polu. Śpię na gospodarskim łóżku.

Dowiedzieliśmy się, że Anglia występuje o rozejm między SowRosją a Polską, czy to możliwe, że niedługo już koniec?

### 21.7.20. Płaucza — Boratyno

Nasi zdobyli Dubno. Opór nikły; niezależnie od tego, co my tu gadamy. Jaki powód? Jeńcy zeznają — i już wiadomo: to rewolucja drobiazgu ludzkiego. Wiele by o tym pisać; uroda tej fasady Polski, to wrzusa, pani hrabino. Przeznaczenie, honor. Żydzi, hrabia Ledóchowski. Rewolucja proletariacka. Jak wchłaniam ten zapach Europy, co ciągnie stamtąd.

Jedziemy na Boratyno przez Dobrywodkę, lasy, pola, łagodne kontury, dęby; znów orkiestra i naczdyw, a wojna z boku. Popas w Żabokrzykach, jem biały chleb. Griszczuk chwilami wydaje mi się degeneratem — taki zahukany? Niemcy, ta zuchwa bez przerwy żująca.

<sup>1</sup> Naczelnikiem dywizji był Siemion Timoszenko, późniejszy marszałek.

Opisać Griszczuka.

Boratyno — zamożna, słoneczna wieś.

Chmil, mrukliwy bogaty chłop, jego uśmiech gdy patrzy na córeczkę. Jajecznicza na maśle, mleko, biały chleb. Obżarstwo, słońce, czystość, wraca mi zdrowie, dla mnie wszyscy chłopcy są tacy sami, młoda matka. Griszczuk promienieje, dostał jajecznicę na słoninie, ładna, cienista stodoła, koniczyna. Dlaczego Griszczuk dotąd nie uciekł?

Piękny dzień. Robię wywiad z Żołnarkiewiczem<sup>1</sup>. Kim są nasi Kozacy? Warstwy: pazerność, zawadiactwo, fachowość, rewolucyjny zapał, zwierzęce okrucieństwo. Jesteśmy awangardą, ale czego? Ludność miejscowa oczekuje wyzwolicieli, Żydzi — swobód, a tu przyjeżdżają Kubańcy...

Komandami<sup>2</sup> wzywa naczdywa na odprawę do Kozina. 7 wiorst. Jadę. Piachy. Każdy dom został mi w sercu. Grupki Żydów. Te twarze, oto getto, stary z nas naród, widać znużenie, jest jednak siła; sklepik, piję świetną kawę, leję balsam na duszę kramarza, wsłuchanego w hałasy, jakich pełen jest sklepik. Kozacy wrzeszczą, klną, rwą się do półek, nieszczęsny kramik i ten spocony, rudobrody Żyd... Łażę bez przerwy, nie mogę się oderwać, miasteczko było zburzone, odbudowuje się, istnieje od 400 lat, gruzy synagogi; wspaniała, stara, zrujnowana świątynia, niegdysiejszy kościół, zachwycająco biały o trzech nawach, widoczny z daleka; teraz cerkiew. Stary Żyd — lubię pogadać z kimś z naszych — oni mnie rozumieją.

Kirkut, zniszczony grobowiec rabbi Azraela, trzy pokolenia, nagrobek pod drzewem, co zdążyło wyrósć nad nim — te stare kamienie, wszystkie jednego kształtu, z napisami jednakiej treści. Ten udręczony Żyd — mój przewodnik, jakaś rodzina tępych grubonogich Żydów mieszkająca w drewnianej szopie przy cmentarzu, trzy groby Żydów-żołnierzy, zabitych podczas wojny rosyjsko-niemieckiej. Abramowicze z Odessy, ich matka przyjechała na pogrzeb i widzę tę Żydówkę, chowającą syna, co zginął za wstrętą dla niej, niezrozumiałą, zbrodniczą sprawę. Jest kirkut nowy i stary — miasteczko ma 4 wieki. Wieczór, kręcę się wśród zabudowań, Żydzi i Żydówki czytają afisze i proklamacje. Polska — pies łańcuchowy burżuazji i tym podobne. Wszy to śmierć, nie kraść piecyków z wojskowych wagonów.

Żydzi — jak z portretów, drągowaci, mrukliwi, o długich brodach; nie to, co nasi — tłuści i jowialni. Rośli starcy, włączający się bez celu. Najważniejsze — to kram i cmentarz.

7 wiorst drogi powrotnej do Boratyna, piękny wieczór, dusza pełna wrażeń, bogaci gospodarze, sprytnie dziewczęta, jajecznicza, słonina, nasi zabierają się do harców, rusko-ukraińska dusza. Mnie to nie bawi, fakt.

#### 22.7.20 Boratyno

Przed obiadem — raport w polowym sztabie armii. Piękna, słoneczna pogoda, zamożna, gospodarna wieś, idę do młyna, cóż to za wodny młyn, Żyd-młynarczyk, potem kąpię się w chłodnej, czystej rzeczce pod łagodnym słońcem Wołynia. Dwie dziewczynki zbytkują w wodzie, dziwna, z trudem opanowana chęć bluzgania przekleństwami, słowami chamskimi i śliskimi. Sokołów zasłabł. Daję mu zaprzęg, niech jedzie do lazaretu. Sztab przenosi się do Leszniowa (Galicja, pierwszy raz przekraczamy granicę). Czekam na konie. Miło w tej wsi, jasno, dostatnio.

Po dwóch godzinach ruszam na Chotyń. Droga wiedzie przez młodniaki, niepokój. Griszczuk tępy i okropny. Jadę wierzchem na ciężkim koniu Sokołowa. Droga pusta, poza mną — nikogo. Jasno, przejrzyste, śladu upału, nie ważkie ciepło. Przed nami — furmanka, pięciu ludzi, wygląda, że to Polacy. Było nie było, podjeżdżamy, przystajemy, skądście to? Obustronny lęk, niepokój. Pod Chotyńmiem widać naszych, wjeżdżamy, strzelanina. Zawracamy, dziki galop, ciągnę konia za treźlę. Kule gwizdzą i wyją. Ogień artyleryjski. Griszczuk to pędzi z mroczną, mlikiwą energią, to znów w chwilach zagrożenia — staje się nie do pojęcia niemrawy. Czernieje mu ta zuchwa niegolona. W Boratynie nie ma już nikogo. Taborzy za Boratynem, zaczyna się bałagan. Epopeja taborowa, wstręt i ohyda. Dowodzi Gusiew. Pół nocy stoimy pod Kozinem, strzelanina. Wysyłamy szpicę na zwiady, nikt nic nie wie, szastają się konni, szalenie czymś zajęci, jakiś wysoki niemiaszek — naczpowiatu; noc, spać się chce, poczucie bezradności — nie wie człowiek dokąd go wiozą, myślę, że ten wypad

<sup>1</sup> Konstanty Żołnarkiewicz był szefem sztabu 6. dywizji. W Armii Konnej walczył również jego brat Michał (zob. s. 73).

<sup>2</sup> Siemion Budionny (1883—1973) w latach 1919—21 dowodził Pierwszą Konną Armią.

to wszystkiego 20-30 ludzi z tych, cośmy ich zapędzili do lasów. Ale skąd artyleria? Drzemałem pół godziny, powiadają, że była strzelanina, nasi wysłali tyralierę. Ciągniemy dalej. Konie zmęczone, okropna noc, posuwamy się ogromną zgrają w egipskich ciemnościach, przez nie wiadomo jakie wsie, gdzieś z boku pożary, przecinają nam drogę jakieś inne tabory — czy to front się zatrząsł, czy tylko panika obozowa?

Noc wlecze się bez końca, grzęźniemy w jamach. Griszczuk dziwnie powozi, czyjs dyszel kole nas w plecy, słycać jakieś krzyki w dali, co pół wiorsty przystajemy na długo; bezcelowa udręka.

Lejce się rwą, taczanka nie słucha woźnicy, zjeżdżamy z drogi, noc, Griszczuk ma atak zwierzęcej, tępej, beznadziejnej desperacji, która doprowadza mnie do wściekłości: a żeby zgorzały te lejce, żeby zgorzały. Griszczuk jest ślepy, przyznaje mi się, w nocy nic nie widzi. Tabory już daleko, droga ciężka, czarne błocko, Griszczuk, szarpiąc resztki lejc, nagle, tym swoim dźwięcznym tenorkiem: to już kryska, Polaki nas dogonią, kanonada ze wszystkich stron, tabory otoczone. Jedziemy na chybił trafił z lejcami w strzępach. Taczanka skrzypi, ciężki, mętny świt w dali, mokre pola. Fioletowe pasma na niebie, pełnym czarnych wyboin.

O brzasku — miasteczko Wierba. Tor kolejowy — martwy, wąski, pachnie Galicją. Czwarta rano.

### 23.7.20 Wierba

Żydzi po bezsennej nocy stoją żałośnie, jak granatowe, potargane gawrony w kamizelkach, w butach na bosą nogę. Mokry, markotny świat, cała Wierba zapchana taborami, tysiące fur, wszyscy woźnice jak spod jednej sztancy, oddziały sanitarne, sztab 45. dywizji, nedorzeczne pogłoski i chyba bezpodstawne, ale uparte, mimo serii naszych sukcesów... Dwie brygady 11. dywizji w niewoli, Polacy zdobyli Kozin, nieszczęsny Kozin, co też tam będzie. Sytuacja strategicznie bardzo ciekawa, 6. dywizja w Leszniowie, Polacy w Kozinie, w Boratynie, na naszych tyłach, przekładaniec. Czekamy na drodze z Wierby. Stoimy tak ze dwie godziny, Misza w białej, wysokiej czapie z czerwoną wstęgą, hasa konno po polu. Wszyscy jedzą: chleb ze słomą, zielone jabłka, lepkie od brudu palce, cuchnące gęby, plugawe, obrzydliwe jądło. Jedziemy dalej. Niebawem, stajemy co 5 kroków, niekończące się tabory 45. i 11. dywizji, to gubimy nasz oddział, to go znajdujemy. Pola, stratowane żyto, oskubane i niedoskubane sioła, okolica pagórkowata, kiedy będziemy u celu? Droga na Dubno. Lasy, wspaniałe, cieniste, wiekowe lasy. Upał, a w lesie chłód, sporo tu wyrąbano na potrzeby wojsk, niech je diabli wezmą, nagie pobraża, tylko pieńki sterczą. Prastare wołyńskie, dubińskie bory, dowiedzieć by się, gdzie tu miód, wonny, czarny. Opisać te lasy.

Krywicha, splądrowana kolonia czeska; baba jak malowanie. I zaraz koszmar, trzeba gotować na całą setkę ludzi. Muchy, spocona, rozchełstana, komisarska dziwa Szurka, świeże mięso z ziemniakami, zabierają całe siano, koszą owies, ziemniaki pudami — dziewczynka pada z nóg, koniec porządnego gospodarstwa. Smukły, żałośnie uśmiechnięty Czech, jego tęga, ładna żona, cudzoziemka.

Bachanalia. Rozłożysta Saszka, ta od Gusiewa, ze swiątą, czerwonoarmiści, łachmyty obozowe, wszystko toto tłoczy się w kuchni — sypie kartofle, szatkuje szynkę, piecze placki. Nieznośne gorąco, duszno, chmary much. Udręczeni Czesi. Krzyki, chamstwo, chciwość. Ale obiad mamy pyszny — pieczona wieprzowina z ziemniakami i wspaniała, kawa. Po obiedzie śpię pod drzewami — łagodnie zbcze, cień, huśtawka kołysze się przed oczyma. Mam w oczach spokojne, zielone i żółte wzgórza, oblane słońcem i lasy, dubińskie lasy. Śpię trzy godziny. Potem — do Dubna. Jadę z Pyszczepą, nowa znajomość, kaftan, biały baszłyk; niepiśmienny komunista, prowadzi mnie do Żeni. Mąż — *a grober mensch*<sup>1</sup> — jeździ konno od wsi do wsi i skupuje u chłopów żywność. Żona — pulchna, sprytna, zmysłowa, młoda Żydówka o powłóczyстым spojrzeniu, zameżna od 5 miesięcy, męża nie kocha, zresztą to nieważne, flirtuje z Pyszczepą. Jej uwaga skupiona jest w istocie na mnie, co i rusz zerka, pyta o nazwisko, nie odrywa oczu, pijemy herbatę, jestem w głupiej sytuacji, cichnę, wędnę, staram się być uprzejmy, za wszystko dziękuję. Mam przed oczyma życie żydowskiej rodziny, przychodzi matka, jakieś panienci, Pyszczepą smali cholewki. Dubno parokrotnie przechodziło z rąk do rąk. Nasi, jak się zdaje, nie grabili. A teraz wszyscy znowu drżą i znów upokorzenie i wrogość do Polaków, bo wyrywali brody. Mąż — czy będzie wolno

<sup>1</sup> Nieuk, cham (po żydowsku).

handlować, kupić cokolwiek i zaraz sprzedać, nie żeby na spekulację. Mówię, że będzie wolno, że będzie lepiej, to moja zwykła metoda, że w Rosji wspaniałe zmiany — ekspresy, bezpłatne żywienie dzieci, teatry, międzynarodówka. Słuchają z zachwytem i niedowierzaniem. A ja myślę sobie — będziecie mieli swoje niebo całe w diamentach<sup>1</sup>, wszystko będzie wywrócone na nice, wszystkich wyobraza i któryż to już raz mi żal.

Dubieńskie synagogi. Wszystko porozwalane. Ocalały dwie malutkie kapliczki, stuletnie, dwie małe izdebki, po brzegi pełne wspomnień, obok cztery bóżnice, za nimi pastwisko, pola i zachodzące słońce. Bóżnice niskie, stareńkie, zielone i granatowe domki; chasydzka ma wewnątrz bez śladu architektury. Idę do chasydzkiej. Piątek, Jakie pokraczne postacie, jakie wynędzniałe twarze, zmartwychwstało przede mną wszystko, co tu się działo przez 300 lat — starcy biegają po bóżnicy, nie ma krzyku, ale wszyscy snują się z kąta w kąt nie wiedząc czemu, modlitwy zupełnie chaotyczne. Chyba zebrali się tu najszeptniejsi Żydzi Dubna. Modłę się, to znaczy — prawie, że się modłę, a myślę o Herszele<sup>2</sup> jak by tu go opisać. Cichy wieczór w bóżnicy, to zawsze ma na mnie wpływ nieodparty, te cztery bóżniczki w szeregu. Religia? Budynek bez żadnych ozdób, wszystko białe i gładkie do granic ascezy, wszystko bezcielesne, monstualnie bezkrwiste; aby pojąć, trzeba mieć żydowską duszę. A w czym dusza się gnieździ? Jakże to, właśnie w naszym stuleciu ma przyjść na to zagłada?

Dubieński zakątek, cztery bóżnice, piątkowy wieczór, Żydzi i Żydówki wśród tych rozbitych kamieni — wszystko to zostaje w pamięci. Później, wczoraj, śledź, i jakoś smutno, bo nie ma człowieka do kogo przylgnąć. Pryszczepa i prowokująca, drażniąca Zenia, jej żydowskie, błyszczące oczy, grube nogi i miękki biust. Pryszczepa — jego lepkie ręce, jej natarczywe spojrzenia, i ten głupi mąż, zadający w małej komórcie paszę chabecie z remoty.

Nocujemy w innym żydowskim domu. Pryszczepa prosi, żeby mu coś zagrać, tęgawy chłopak o twardych, tępych rysach, ledwie dysząc ze strachu, odpowiada, że nie ma nastroju do grania. Koń stoi w obejściu naprzeciwko. Dom Griszczuka jest o 50 wiorst. Ale on nie ucieka.

Polacy nacierają na odcinku Kozin-Boratyno, są już na naszych tyłach. 6 dywizja w Leszniowie — Galicja. Rozwijają się frontalny manewr na Brody-Radziwiłłów, z tym, że jedna brygada ma ich zająć od tyłu. 6 dywizja toczy ciężkie walki.

24.7.20

Rano — w sztabie armii. 6 dywizja likwiduje zagon nieprzyjaciela, który zaskoczył nas w Chotyńniu, trwają walki na odcinku Chotyń-Kozin, a ja myślę — biada Kozinowi.

Cmentarz, obłe nagrobki.

Jadę z Pryszczepą z Krywych na Leszniów. Dusza Pryszczepy — niepiśmienny chłopak, komunista, rodziców zabili mu biali, opowiada, jak zbierał swój rozgrabiony dobytek po stanicach. Malowniczy, w baszłyku, prosty jak żdźbło, będzie maruderem, gardzi Griszczukiem, bo Griszczuk nie lubi i nie rozumie koni. Jedziemy przez Chorupań, Smordwę na Demidówkę. Zapamiętać ten obraz — tabory, jezdni, wsie na połacie zburzone, pola i lasy, dęby, czasem jakiś ranny i moja taczanka.

W Demidowce, pod wieczór. Żydowskie miasteczko, przyglądam się mu uważniej. Żydzi w stepie, wszystko porozwalane. Stajemy w domu pełnym kobiet. Rodziny — Lacheccy, Szwechwelowie, nie, to nie Odessa. Dentystka — Dora Aronowna, czyta Arcybaszewa, a dookoła swawoli kozactwo. Jest wyniosła i zła, mówi, że Polacy szargali poczucie godności osobistej i — gardzi komunistami za ich plebejskie maniery; masa córek w białych pończochach, pobożni rodzice. Każda z córek — to indywidualność, jedna cherlawa, czarnowłosa, krzywonoga, druga — tęga, trzecia — gospodarna, a wszystkie razem, jak się zdaje, stare panny.

Najwięcej swarów o to, że dziś sobota. Pryszczepa każe sobie smażyć kartofle, a jutro post, 9 Aba<sup>3</sup>, a ja tu jestem za ruskiego<sup>4</sup>, więc milczę. Dentystka, błada z urażonej dumy i poczucia własnej god-

<sup>1</sup> Cytat z Czechowa.

<sup>2</sup> Legendarny wesolek i mędrzec z Ostropola, p. nowela Babla: „Szabos Nachmu”.

<sup>3</sup> Dzień postu i żałoby w rocznicę zburzenia Drugiej Świątyni Jerozolimskiej

<sup>4</sup> Babel zwerbował się do Armii Konnej pod fałszywym nazwiskiem — Kirył Wasiliewicz Lutów.

ności, oznajmia, że nikt tu nie będzie wykopywał kartofli, bo święto. Długo staram się powstrzymać Pryszczepę, wreszcie wybucha — żydy, taka ich mać, cały arsenał — i teraz wszyscy — pełni nienawiści do nas i do mnie — kopią kartofle, z łękiem, bo ogród cudzy; wykopali dwie garście na krzyż. Pryszczepa wściekły. Jakie to wszystko ciężkie — i Arcybaszew, i sierota — pensjonarka z Równego, i Pryszczepa w baszłyku. Matka łamie ręce — rozpalili ogień w sobotę, pełno wyzwisk. Był tu Budionny i pojechał dalej. Spór między młodym Żydem a Pryszczepa. Młody Żyd w okularach, czarnowłosa, nerwowy, czerwone obrzmiałe powieki, łamana ruszczyzna. Wierzy w Boga, Bóg — to ideał, który nosimy w duszy, każdy ma w swojej duszy Boga, jeśli postępujesz niegodziwie — Bóg się smuci; te głupstwa wygłasza w uniesieniu i z bólem. Pryszczepa jest niewybaczalnie głupi, prawi o religii w czasach starożytnych, myli chrześcijaństwo z pogaństwem, najważniejsze, że w starożytności była komuna, rzecz jasna, plecie bez sensu; jakie pan ma wykształcenie — żadnego, a Żyd 6 klas gimnazjum w Równem; wydaje lekcję według podręcznika Płatonowa — to wzrusza i śmieszy — plemiona, rada starców, Perun, pogaństwo. Żremy, jak woły, smażone kartofle i po 5 szklanek kawy. Poty biją, wszystko nam podsuwają, to okropność, opowiadam troje niewidy o bolszewizmie, rozkwit, ekspresy, moskiewskie sukna, uniwersytety, bezpłatne żywienie, delegacja z Rewia<sup>1</sup>; szczytem wszystkiego jest opowieść o Chińczykach — i tak udaje mi się zawojować tych zadrażonych ludzi. 9 Aba. Starucha łka, siedząc na podłodze, jej syn, który uwielbia matkę, powiada, że wierzy w Boga, aby zrobić jej przyjemność — miłym tenorkiem zawodzi i objaśnia dzieje zburzenia świątyni. Straszne słowa proroków — będziecie jeść kał, dziewice będą pohańbione, a mężowie wymordowani, Izrael pobity, gniewne, pełne rozpachy słowa. Lampa kopci, starucha szłocha, melodyjnie zawodzi młody Żyd, dziewczęta w białych pończochach, za oknem Demidowka, noc, kozactwo, wszystko jak wtedy, kiedy burzono świątynię. Idę spać na dwór, gdzie smród i błoto.

Kłopot z Griszczukiem — odrętwiał, chodzi jak lunatyk, koni prawie nie karmi, o trudnościach opowiada post factum, życzliwy jest tylko dla chłopów i dzieci.

Przyjechali z pozycji chłopcy od cekaemów, zatrzymują się w naszym obejściu, noc, mają wołokowe opończe. Pryszczepa przystawia się do Żydówki z Krzemieńca, ładniutkiej, krągłej, w obcisłej sukni. Na kobietę biją tkliwe pąsy, krzywoboki teść siedzi opodal, ona kwitnie, z Pryszczepa tak miło się gwarzy, kwitnie i kryguje się, o czym też mówią, potem on — że trzeba spać i że szkoda czasu, ta — jak na mękach, kto lepiej ode mnie wie, co się w jej duszy dzieje? On — będziemy do siebie pisać, ja myślę z udręką — czy ona też wyraziła zgodę, jak mawia Pryszczepa (u niego wszystkie wyrażają). Przypominam sobie, że chłopak ma chyba syfa, pytanie, czy go wyleczył.

Chwilę później kobieta — bo będę krzyczeć. Opisać ich pierwsze czułe słowa — o czym to tak dumacie towarzyszeko — to inteligentka, pracowała w rewkomie.

Boże, myślę sobie, kobiety słyszą teraz te wszystkie przekleństwa, żyją po żołdacku, gdzie tu miejsce na czułość?

Noc, burza i ulewa, uciekamy do obory, brud, ciemność, wilgoć, chłód; tych od cekaemów o świcie pędzą na pozycje, robią zbiórkę w ulewnym deszczu, opończe, zziębnięte konie. Nieszczęsna Demidowka.

25.7.20

Rano odjazd z Demidowki. Męczące dwie godziny. Żydówki obudzono o 4 rano i zmuszono do gotowania ruskiego mięsa, a to 9 Aba. Półgole i rozczochrane dziewczęta biegają po cudzych grzędach ogrodowych. Pryszczepy ani na chwilę nie opuszcza żądza, dopada narzeczonej syna krzywobokiego starca, tymczasem zabierają im podwodę, niesłychane wyzwiska, żołnierze jedzą mięso prosto z kotłów, ona — bo będę krzyczeć, jej twarz, Pryszczepa przyciska ją do ściany, potworna scena. Kobieta stara się na wszelki sposób odzyskać wóz, rodzina ukryła ją na strychu, będzie z niej porządna Żydówka. Wyklóca się z komisarzem, narzekającym, że Żydzi wcale nie chcą pomagać Czerwonej Armii.

Zgubiłem teczkę, później odnalazłem ją w sztabie 14. dywizji, w Liszni.

<sup>1</sup> Tallin, stolica Estonii.



Jedziemy na Ostrów — 15 wiorst, stamtąd wiedzie droga na Leszniów, niebezpieczna, kręcą się polskie patrole. Pop, jego córka, przypomina śpiewaczkę Plewicką albo szkielet, tyle że wesół. Studiuje na kursach w Kijowie. Wszyscy tu stęsknili się za odrobiną uprzejmości, opowiadam bajędy, dziewczyna nie może się oderwać. 15 niebezpiecznych wiorst, galopują pikiety, przejeżdżamy granicę — bruk z drewnianej kostki. Wszędzie okopy.

Przyjazd do sztabu. Leszniów. Pół miasteczka w ruinie (...). Kościół, cerkiew unicka, bóżnica, ładne budynki, marne życie, jacyś widmowi Żydzi, wstrętna galicyjska gospodyni, muchy i brud, zdziczały, drągowaty drab, słowiańszczyzna drugiego gatunku. Opisać duch zrujnowanego Leszniowa, mizериę i uprzykrzone półzagraniczne błoto.

Śpię w stodole. Toczy się walka o Brody i o przeprawę pod Czurowicami. Okólniki na temat sowieckiej Galicji<sup>1</sup>. Pastorzy. Noc w Leszniowie. Wszystko to jest niewymownie smutne, i ci zdziczali żalosi Galicjanie, i zburzone synagogi, i to miałkie bytowanie na tle strasznych wydarzeń; do nas docierają tylko odbłaski.

#### 26.7.20 Leszniów

Ukraina w ogniu. Wrangel nie zlikwidowany. Machno hasa po jekaterynosławskiej i połtawskiej guberni. Pojawiły się nowe bandy, pod Chersoniem — powstanie. Skąd te powstania, czy komunistyczna kołdra nie za krótka?

Co z Odessą, cknę mi się.

Dużo roboty, rekonstruuje to, co się stało. Dziś rano zdobyto Brody, nieprzyjaciel znów zdołał się wyrwać z okrażenia, ostry rozkaz Budionnego, 4 razy pozwoliliśmy im wycofać się, rozhuścić to umiemy, ale wziąć w garść brak sił.

Narada w Kozinie, przemawia Budionny, zapomnieliśmy o manewrowaniu, szturmujemy się na oślep, tracimy kontakt z nieprzyjacielem, zwiadu jakby nie było, to samo z czujkami osłony, dowódcom dywizji brak inicjatywy, czcze akcje.

Gadam z Żydami, pierwszy raz — nieciekawo Żydzi. Obok rozbitej synagogi rudzielec z Brodów, krajanie z Odessy.

Przenoszę się na kwaterę do beznogiego Żyda; co za ulga, czysto, cisza, świetna kawa, schludne dzieci, ojciec stracił obie nogi na włoskim froncie, nowy dom, budują się, ona zachłanna, ale umie się zachować, uprzejma; mała, cienista izdebka, odpoczywam od Galicjan.

Mam chandrę, trzeba to wszystko przemyśleć, i Galicję, i wojnę światową, i mój własny los.

Życie naszej dywizji. O Bachturowie<sup>2</sup>, o naczdywie, o kozakach; maruderstwo, awangarda awangardy. Ja jestem obcy.

Wieczorem panika, nieprzyjaciel wyparł nas z Czurowic, był już o półtorej wiorsty od Leszniowa. Naczdyw galopem odjechał i galopem wrócił. I znowu tułaczka, i znowu noc bezsenna, tabory, skryty Griszczuk, konie stąpają cicho, przekleństwa, lasy, gwiazdy, jakiś postój. O świcie Brody, okropność, wszędzie drut kolczasty, opalone kominy, anemiczne miasto, domy bez wyrazu, powiadają, że tu pełno towarów, nasi nie przepuszczają, tu były fabryki, rosyjski cmentarz wojskowy i naprawdę bezimienne, samotne krzyże na mogiłach rosyjskich żołnierzy.

Całkiem biała droga, wyrąbane lasy, wszystko do góry dnem. Galicjanie na drogach, austriacka zagroda, boso, ale z fajkami, co jest w tych twarzach, jakaś tajemnica znikomości, powszedniości, pokory.

Radziwiłłów — jeszcze gorszy niż Brody, druty na słupach, czerwone budynki, brzask, żalosi postacie, pozrywane owoce, obszarpani, ziewający Żydzi, porozjeżdżane drogi, wywrócone krzyże przydrożne, niemrawa ziemia, splądrowane kościoły, a gdzie księża; tu był raj przemysłowy i widzę, jak tu się dawniej żyło.

#### 27.7.20 Chotyń

<sup>1</sup> Wzmianka warta uwagi O ile na froncie północnym i środkowym propaganda sowiecka lansowała „Polską Republikę Rad”, o tyle na odcinku południowym, gdzie działała 1 Armia Konna (dowódca — Budionny, komisarz polityczny frontu — Stalin), mówiło się wprost o „Sowieckiej Galicji”, jakby chodziło o aneksję jednostki administracyjnej byłej monarchii austro-węgierskiej (przyp tłum )

<sup>2</sup> Paweł Bachturow — komisarz wojskowy 6. kawaleryjskiej dywizji.

Od Radziwiłłowa — nieskończony ciąg wsi, konni rwą przed siebie, ciężko po bezsennej nocy.  
Chotyń — ta sama wieś, gdzie nas ostrzelano. Kwatera — okropna nędza — łaźnia, muchy; rozważny, cichy, przystojny chłop, kuta na cztery nogi baba, nic nie daje, biorę z troków słoninę, kartofle. Żyją bezmyślnie, dziko, roje much w izdebce, ohydne żarcie, to im całkiem wystarcza — przy tym chciwość i wstrętne, niezmiennie urządzenie tej nory, i cuchnące na słońcu skóry, można wściec się od brudu.

Był tu dziedzic — Swiesznikow, zrujnowana fabryka, splądrowany dwór, majestatyczny szkielet czerwonego, ceglanego gmachu fabryki, rozorane aleje, śladu nie zostało, obojętni chłopci.

Szwankuje zaopatrzenie artylerii w pociski, wciągamy się w robotę sztabową — nikczemne planowanie mordy. Oto zasługa komunizmu — że nie ma przynajmniej szczucia na wrogów w *ogóle*, tylko tak, mimochodem, na polskich żołnierzy.

Przywieziono jeńców, jednego, zupełnie zdrowego, krasnoarmiejec postrzelił dwa razy bez żadnego powodu. Polak skręca się i jęczy, ktoś podkłada mu poduszkę.

Kona Zinowiew, młodziutki komunista w czerwonych bryczesach, gardłowy charkot i sine powieki. Chodzą dziwne pogłoski — 30. zaczynają się rokowania o rozejm.

Noc w cuchnącej dziurze, zwanej podwórcem. Nie mogę spać, późną nocą zaglądam do sztabu, z przeprawą nie najlepiej.

Późna noc, czerwona flaga, cisza, rwący się do bab czerwonoarmiści.

#### 28.7.20 Chotyń

Walka o przeprawę pod Czurowicami. 2 brygada wykrwawia się na oczach Budionnego. Cały batalion piechoty w ranach, prawie do szczytu rozbity. Polacy siedzą w starych, oszańcowanych okopach. Nie udało się naszym. Czy opór Polaków krzepnie?

Nie widać rozprzeżenia, poprzedzającego prośbę o rozejm.

Mieszkam w ubogiej chacie, gdzie wielkogłowy syn gospodarzy gra na skrzypcach. Terroryzuję gospodynię, bo nic nam nie chce dać. Drętwy Griszczuk nie dba o konie, okazuje się, że to głód go tak zmienił.

Gospodarka w ruinie, pan Swiesznikow, piękna gorzelnia w gruzach (symbol rosyjskiego przemysłu); kiedy spirytus wylano — całe wojsko się spiło.

Wszystko mnie drażni, nie przestaje złościć brud, apatia, beznadzieja rosyjskiego życia, coś tu może zaradzi rewolucja.

Gospodyni trzyma w ukryciu świnię i krowę, trajkocze żałośliwie, z bezsilnym gniewem, jest leniwa, to ona prowadzi ten dom do upadku, czuję to; mąż ma zaufanie do władzy, człowiek czarujący, łagodny, przypomina mi Strojewa.

Co za nuda na wsi, to okropne — mieszkać tutaj. Wciągamy się w robotę sztabową. Opisać ten dzień — echa bitwy, toczonej parę wiorst stąd, kurierzy, spuchnięta ręka Lepina.

Krasnoarmiejcy śpią z babami.

Opowieść o tym, jak polski pułk cztery razy składał broń i znów za nią chwycił, gdy rzucono się na nich z pałaszami.

Wieczór, cisza, rozmowa z Matiażem; szczeniak jest bezgranicznie leniwy, czuły i lubieżny, ale w jakiś sympatyczny, ciepły sposób. Straszna prawda — wszyscy żołnierze chorują na syfilis. U Matiaża już przechodzi (a prawie się nie leczył). Miał syfa, podleczył go w ciągu dwóch tygodni; był z kumem w Stawropolu, kosztowało ich to 10 srebrnych kopiejek, kumowi się zmarło. Misza łapał już wiele razy, Sienczenko ma, Gierasia też i wszyscy chodzą do bab, a w domu narzeczone czekają. Sołdacka plaga (...) Łykają tłuczony kryształ, piją coś, chyba karbol, mielone szkło. Całe to wojsko — aksamit na czapkach, gwałty, czupryny, bitwy, rewolucja i syfilis. Galicja zarażona jest na wskroś.

List do Żeni, tęsknię za nią i za domem.

Trzeba dobrze przyjrzeć się działalności specoddziału i rewtrybunału.

Czy to prawda, że 30. rokowania rozejmowe?

Rozkaz Budionnego. Czwarty raz pozwoliliśmy wymknąć się przeciwnikowi, pod Brodami był już otoczony.

Opisać Matiaża, Misze. Chłopi — w nich nie chce mi się głębiej wnikać.

Starcza nam sił na manewry, na branie w cęgi Polaków, ale siły w garści właściwie nie mamy, są w stanie się przebić, Budionny rozsierdzony, naczdyw dostał naganę. Napisać życiorys naczdywa, wojenkoma Knigi i in.

#### 29.7.20 Leszniów

Rankiem ruszamy na Leszniów. Znów u dawnego gospodarza — czarnobrodego, beznogiego Froima. Podczas gdy mnie tu nie było, został ograbiony; zabrali mu 4 tysiące guldenów i buty. Zona — przymilne ścierwo, chłodniej się teraz do mnie odnosi — widzi, że niewiele skorzysta; pazerni ludzie. Rozmawiam z nią po niemiecku. Nadciąga niepogoda.

Dzieci Froima — same kulasy, jest ich mnóstwo, nie rozróżniam ich, krowę i konia gdzieś ukrył.

W Galicji jest nieznośnie ponuro, rozwalone kościoły, krzyże, chmurne niebo, przygnębieni, nieporadni, mizerni mieszkańcy. Są żalosni w tym swoim przyzwyczajeniu do mordów, do żołnierzy, do chaosu; stateczne, ruskie, zapłakane baby, rozorane drogi, niskie zboża, brak słońca, księża w szerokoskrzydłych kapeluszach — bez świątyń. Jak mierzą ci wszyscy od przebudowy życia. (...)

Dzień pełen niepokoju. Polacy przerwali front na odcinku 14. dywizji na prawo od nas, znowu zajęli Beresteczko. Brak meldunków, kadryl, zachodzą nas od tyłu.

Nastrój w sztabie. Konstanty Karłowicz milczy. Pisarczykowie — ta nażarta, czelna, weneryczna szajka, mają boja. Po ciężkim monotonnym dniu — nocna ulewa, błoto, a ja mam tylko półbuty. I oto przychodzi potężny deszcz — prawdziwy zwycięzca.

Człapiemy po błoku, drobny deszcz przenika do kości.

Palba armatnia i stukot cekaemów — coraz bliżej. Ogarnia mnie nieprzewyciężona senność. Mam nowego woźnicę — to Polak, Gowiński, gracki chłopak, gadatliwy, nieopanowany i oczywiście, bezczelny.

Griszczuk idzie do domu; czasem wrywa mu się — jestem wykończony; po niemiecku nie mógł się nauczyć, bo jego gospodarz był człowiekiem poważnym, więc najwyżej się kłócili, ale nigdy nie rozmawiali.

Okazuje się jeszcze, że przymierał głodem przez 7 miesięcy, a ja skąpiłem mu jedzenia.

Polak jest zupełnie bosy, usta ma zapadłe, oczy niebieskie. Gadatliwy i wesoły, zdradził swoich; jest mi wstrętny.

Nie mogę zwalczyć senności. Sen to niebezpieczeństwo. Kładę się w ubraniu. Obok mnie stoją na krześle dwie nogi Froima. Pali się lampka, jego czarna broda, dzieci pokotem na podłodze.

Zrywam się z dziesięć razy — Gowiński i Griszczuk śpią — złość mnie bierze. Zasnąłem około czwartej, walenie w drzwi — w drogę. Panika, nieprzyjaciel na przedmieściu, strzelanina z cekaemów, Polacy blisko. Wszyscy w galop. Nie można wyprowadzić koni, wrota w drzazgi. Ten Griszczuk ze swoją obrzydłą desperacją, jest nas czterech, konie nie karmione, trzeba jeszcze wstąpić po siostrę. Griszczuk i Gowiński chcą ją zostawić, ja wrzeszczę nie swoim głosem — żeby siostrę?! Jestem wściekły — siostra głupia i ładna. Pędzimy szosą na Brody, kiwam się i drzemię. Ziąb, przenikliwy wiatr i deszcz. Trzeba uważać na konie, uprząż lada jaka, Polak nuci, ja drzę z zimna, siostra gada głupstwa. Kiwam się i śpię. Nowe wrażenie — nie mogę otworzyć oczu. Opisać — niewymowne pragnienie snu.

Znowu uciekamy przed Polakami. Ot, i masz kawaleryjską wojnę. Budzę się — stoimy, naprzeciw nas białe zabudowania. Jakaś wieś? Nie — Brody.

#### ZAŚWIADCZENIE

*Według informacji, jakie do nas dotarły, polskie białe wojska postępują z czerwonymi lotnikami nie tak, jak by powinny postępować uczciwie walczące strony. Tymczasem zaś każdy lotnik jest nie tylko żołnierzem, ale i bojownikiem w ogólnoludzkiej sprawie opanowania przestworzy, niezależnie od tego, do jakiego obozu politycznego należy. Biorąc pod uwagę mające miejsce wypadki gwałtu na wziętych do niewoli czerwonych lotnikach, Rewwojensowiet 1. Armii Konnej za zgodą Rewwojensowietu RSFS Republiki, postanowił za każdego czerwonego lotnika i obserwatora*

*1. Armii Konnej wyznaczyć po 25 oficerów i 25 żołnierzy jako zakładników, spośród jeńców przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych, którzy będą odpowiadać życiem za każdy gwałt, który zostanie dokonany na wziętych do niewoli. Przede wszystkim rozstrzeliwani będą zakładnicy tej narodowości, do jakiej należeć będą wojska dokonujące gwałtu. Niniejsze zaświadczenie wydano czerwonemu lotnikowi wojskowemu 1. Armii Konnej, tow. Kuzniecowski.*

### 30.7.20 Brody

Posępny świat. Uprzykrzona siostra. Griszczuk gdzieś został. Daj mu Boże.

Gdzie się zatrzymać? Zmęczenie doskwiera, 6 rano. Jakiś Galicjanin, więc obces do niego. Żona na podłodze, przy niej noworodek. Mąż stareńki, cichy; dzieci przy nagiej matce, troje, może czworo. Jeszcze jakaś kobieta. Pył, przybity deszczem. Piwnica. Krucyfiks. Obraz święty, Matka Boska. Unici to rzeczywiście ni to, ni owo. Silny wpływ katolicyzmu. Błogosławione ciepło, gorąca woń dzieci, kobiet. Cisza i smutek. Siostra śpi, ja nie mogę, pluskwy. Nie ma krzty siana, krzyczę na Gowińskiego. Gospodarze nie mają mleka, chleba.

Miasto w ruinie, zupełnie. Niezwykle ciekawe miasto. Polska kultura. Stara, zamożna, osobliwa żydowska osada. Te okropne bazary, karzelki w kapotach, kapoty i pejsy, zgrzybiali starcy. Ulica Szkolna, 9 synagog, wszystkie półrozwalone, oglądam nową synagogę, architektura (nieczytelne), szames, Żyd brodaty i gadatliwy — niech już będzie pokój, żeby tylko był handel, prawi mi o rozgrabieniu miasta przez Kozaków i o upokorzeniach, jakich nie szczędzili Polacy. Wspaniała synagoga, co za szczęście, że mamy przynajmniej trochę starych kamieni. To miasto europejskie, to Galicja, trzeba opisać. Okopy, rozbebeszone fabryki. Bristol, kelnerki, zachodnioeuropejska kultura, człowiek na to zachłannie się rzuca. Te mizerne lustra, ci bladzi austriaccy Żydzi-gospodarze. I te opowieści — tu były dolary, pomarańcze, sukna.

Szosa, drut kolczasty, wyrąbane lasy i smutek, smutek bez kresu. Nie ma co jeść, nie ma się czego spodziewać, wojna, wszyscy są tak samo źli, tak samo obcy, pełni wrogości, dzicy; a przedtem było tu spokojne i, co ważniejsze, pełne tradycji życie.

Budionnowcy na ulicach. W sklepach nic prócz lemoniady, otwarte są jeszcze tylko golarnie. Na rynku megiery sprzedają marchew, cały czas pada deszcz, nieustanny, przenikliwy, dławiący. Nieznośny smutek, ludzie, ludzkie dusze, wszystko zdławione.

W sztabie — czerwone portki, buta, miernoty unoszą się pychą, mnóstwo młodych ludzi, są wśród nich także Żydzi, wszyscy znajdują się w dyspozycji komandarma i uganiają się za prowiantem.

Nie sposób zapomnieć Brodów i tych mizeraków, i fryzjerów, i Żydów nie z tej ziemi, i Kozaków na ulicach.

Kłopot z tym Gowińskim, konie w ogóle nie dostają paszy. Odeski hotel Halperina, w mieście głód, nie ma co jeść, wieczorem dobra herbata, pocieszam gospodarza, jest blady i rozdygotany, jak mysz. Gowiński znalazł Polaków, dostał od nich czapkę, ktoś pomógł nawet Gowińskiemu. Jest nieznośny, nie zadaje koniom, gdzieś się włóczy, strzępi język, nic nie umie zdobyć, boi się, że go aresztują, a już próbowali, przychodzili do mnie.

Noc w hotelu, obok jakaś para małżeńska, ich rozmowy, słowa i... w ustach kobiety; o, Rosjanie, jak obrzydliwe są wasze noce i jak zmienił się głos waszych kobiet. Słucham ledwie dysząc i robi mi się ciężko.

Straszna noc w tych zakatowanych Brodach. Trzeba czuwać. Znoszę koniom siano. W sztabie. Mogą sobie spać, nieprzyjaciół naciera. Wróciłem na kwaterę, spałem mocno, z zamarłym sercem, obudził mnie Gowiński.

### 31.7.20 Brody.

Leszniów Przed odjazdem; taczanka czeka od rana na ulicy Złotej, godzina w księgarni, w niemieckiej księgarni. Są tu wszystkie wspaniałe, nie rozcięte jeszcze wydania, albumy. Zachód, oto Zachód i rycerska Polska, wypisy, historia wszystkich Bolesławów i wydaje mi się czemuś, że to jest piękne. Polska — w lśniących szatach na zwiędłym ciele. Grzebię w kupie książek, jak wariat, biegnę do półek, a tu już potok, już grabią materiały biurowe jacyś wstrętnei, młodzi faceci o

marsowym wyglądzie, komisja d/s łupów. Odrywam się od książek z rozpaczą.

Wypisy, Tetmajer, nowe przekłady, masa nowej, polskiej, narodowej literatury, podręczniki.

Sztab w Stanisławczyku albo w Kozuszkowie. Siostra; pracowała w Czerezwyczajce; jest bardzo rosyjskiej, delikatnej, kruchej urody. Żyła ze wszystkimi komisarzami, jak myślę, a tu nagle — album kostromskiego gimnazjum, gubernantki, sercowe ideały, pensja Romanowa, ciocia Mania, łyżwy.

Znów Leszniów i znów moi gospodarze, straszny brud; już stał się nalot gościnności, szacunku dla Rosjan i dla mojej przychylności, niesporo mi być u obdzieranych ludzi.

O koniach; nie ma obroku, chudną, taczanka rozsypuje się z braku byle śrubki, nienawidzę Gowińskiego, jakiś wesolutki, zachłanny niedorajda. Kawą już mnie nie częstują.

Nieprzyjacielowi udało się obejść nas bokiem, odparli nas od przeprawy; złowieszcze plotki o przerwaniu frontu w rejonie działań 14. dywizji, pędzą galopem umyślni. Wieczorem — do Grzymalówki (na północ od Czuruwic) — spustoszona wieś; dostałem owsa, leje bezustannie, krótki szlak do sztabu — nie do przebycia w moich półbutach, męcząca człapanina, front się zbliża, piłem pyszną herbatę; ciepło, gospodyni z początku udawała chorą, wieś cały czas była w rejonie walk o przeprawę. Mrok, trwoga, Polak nie śpi.

Pod wieczór przyjechał naczdyw, wspaniała postać, rękawiczki, zawsze wprost z pozycji, noc w sztabie, praca Konstantego Karłowicza.

#### 1.8.20 Grzymalówka. Leszniów.

Boże, sierpień, śmierć blisko, nieposkromione okrucieństwo ludzkie.

Sytuacja na froncie pogarsza się. Strzelanina za opłotkami. Wypierają nas z okolic przeprawy. Wszyscy wyjechali, zostało paru sztabowców, moja taczanka czeka koło sztabu, nasłuchuję odgłosów bitwy, jakoś mi dobrze, niewielu nas, nie ma taborów, nie ma sztabowej administracji, spokojnie, lekko, Timoszenko bardzo opanowany. Kniga<sup>1</sup> apatyczny; Timoszenko: jeżeli ich nie wyprze, to rozstrzelam, powtórz mu to sam; a jednak się uśmiecha. Przed nami droga wzdęta od deszczu, cekaemy wytryskają w rozmaitych punktach, niewidzialna obecność nieprzyjaciela w tym szarym i nieważkim niebie. Npl zbliża się do wsi. Przeprawa przez Styra stracona. Jedziemy na utrapiony Leszniów, który to raz? Naczdyw — do 1. brygady. W Leszniowie strasznie, wpadamy na 2 godziny, administracja sztabu ucieka, mur nieprzyjacielski wyrasta dokoła nas.

Bitwa pod Leszniowem. Nasza piechota w okopach, to wspaniałe; wołyńskie, bose, głupkowate chłopaki (...) i właśnie oni naprawdę walczą z Polakami, z pańskim uciskiem. Brak karabinów, amunicji nie dowożą, a ci chłopcy snują się w upale po okopach, przerzucają ich z jednej wysuniętej pozycji na drugą. Chata na skraju lasu, usłużny Galicjanin daje mi herbaty, konie stoją w rozpadlinie.

Byłem na stanowisku baterii, dokładna, niespieszna robota techniczna.

Pod ogniem cekaemów, gwizd kul, obrzydliwe uczucie, przemykamy się okopami, jakiś czerwonoarmista w oknie, że niby jesteśmy otoczeni, a pewno. Gowiński był na szosie, chciał zostawić zaprząg, potem ruszył, znalazłem go na skraju lasu, taczanka połamana, perypetie, szukam do kogo by się dosiąść, ci od kulomiotów odpychają; opatrywanie rannego chłopaka, noga zadarta w górę, wrzeszczy, jest z nim kolega, któremu zabito konia; łątamy taczankę sznurem, ruszamy, taczanka skrzypi, nie ma skrętu. Czuję, że Gowiński doprowadzi mnie do zguby — taki już los, ten jego goły brzuch, dziurawe buty, nos jak u Żyda i wieczne wykręty. Przesiadam się do powozu Michała Żołnarkiewicza, co za ulga, drzemię, wieczór, zamęt w duszy, tabory, postój na drodze do Bielawiec, później jedziemy drogą wśród lasu, wieczór, chłodek, szosa, zmierzch — posuwamy się w stronę frontu, wieziemy mięso Konstantemu Karło wieżowi.

Jestem chciwy i nikczemny. Oddziały w lesie; podali tyły, zwykły obrazek. Szwadron, Bachturow czyta komunikat o kongresie III Międzynarodówki, o tym, że przyjechali towarzysze z całego świata, biała chusteczka siostry miga wśród drzew, co tu po niej? Zawracamy, Michale, co to znaczy? Gowiński uciekł, nie ma zaprzęgu. Noc, śpię w powozie obok Michała Karłowicza. Jesteśmy pod Bielawcami.

<sup>1</sup> Wasilij Kniga — dowódca 1. brygady 6. dywizji (Kombryg 1).

Opisać ludzi, powietrze.

Minął dzień, widziałem śmierć, białe drogi, konie wśród drzew, wschód i zmierzch.

Najważniejsze — budionnowcy, konie, ruch i wojna; wśród żyta snują się stateczni, bosci, widmowi Galicjanie.

Noc w powozie.

(Pod laskiem stałem obok taczanki pisarzy pułkowych).

#### 2.8.20 Bielawce

Historia z taczanką. Gowiński dotarł do miasteczka. Kowala nie znalazł, rzecz jasna. Moja awantura z kowalem, pchnąłem kobietę, krzyk i łzy. Galicjanie nie chcą nam nic naprawiać. Arsenał środków perswazji, grózb, próśb, najlepiej poskutkowałą obietnica cukru. Długa historia, jeden kowal chory, ciągnę po drugiego, płacz, wloką go do domu. Nikt nie chce mi uprać bielizny, żadne namowy nie pomagają.

W końcu naprawiają mi taczankę.

Jestem zmęczony. W sztabie nastrój alarmu. Cofamy się. Nieprzyjaciel ciśnie, lecę po Gowińskiego, upał, lęk, że się spóźnię, biegnę przez piachy, zawiadomiłem go, dogoniłem sztab za wsią, nikt mi nie daje się dosiąść, uciekają, utrapienie, jadę jakiś czas z Borsukowem, pchamy się na Brody.

Przydzielają mi sanitarną taczankę 2. szwadronu, dojeżdżamy do lasu, stajemy tam z wozakiem Iwanem. Przyjeżdża Budionny, Woroszyłow, bitwa będzie decydująca, ani kroku wstecz. Rozwijają się do walki trzy brygady, rozmawiam z kwatermistrzem sztabu. Atmosfera początku bitwy, rozległe pole, aeroplany, manewry kawaleryjskie w polu, nasza konnica, eksplozje w dali, zaczęło się, karabiny maszynowe, słońce, gdzieś już się starli, głucho „hurra”, my z Iwanem cofamy się w głąb, śmiertelne niebezpieczeństwo, to co czuję, to nie strach, tylko, bierność, on chyba się boi; dokąd jechać, grupa Koroczajewa jedzie na prawo, my, nie wiedzieć czemu, na lewo, walka wre, jacyś konni nas doganiają, to ranni, jeden śmiertelnie blady — bracie, weź mnie ze sobą, spodnie całe we krwi, grozi, że zastrzeli, jeżeli go nie weźmiemy, ściągamy go z siodła, okropnie wygląda, kurtkę Iwana powalała krew, Kozak, zatrzymaj się, niech go opatrzę, jest ranny dość lekko, w brzuch, kość uszkodzona, bierzemy jeszcze jednego, pod którym koń padł. Opisać rannego. Długo krążymy pod ogniem po polach, nic nie widać, te obojętne drogi, ta trawka; posyłamy jezdnych, dotarli do szosy — dokąd właściwie jechać, na Radziwiłłów, czy na Brody? W Radziwiłłowie powinien być sztab kwatermistrzostwa i wszystkie treny, myślę, że w Brodach będzie ciekawiej, toć to bitwa o Brody. Przeważyło zdanie Iwana, jacyś ludzie z taborów mówią, że w Brodach — Polacy, tabory uciekają, sztab armii wycofał się. Jedziemy na Radziwiłłów. Przyjeżdżamy w nocy. Przez cały ten czas żarliśmy marchew i groch na surowo, głód dręczy, jesteśmy brudni i niewyspani. Wybrałem chatę na przedmieściu. Trafiłem dobrze, węch już mi się wyrobił. Starzec, dziewczyna. Pyszne zsiadłe mleko, podjedliśmy, gotuje się herbata z mlekiem. Iwan wychodzi po cukier, stukot cekaemów, turkot taborów, wybiegamy, koń okulał, taki już los, uciekamy w panice, strzelają do nas, nic nie można zrozumieć, zaraz nas złapią, biegniemy w stronę mostu, niebotyczny zamęt, zapadamy się w błoto, dzika panika, poniewiera się zabity, porzucone podwoły, amunicja, taczanka. Zator, noc, strach, nie kończące się tabory w bezruchu, jedziemy, pole, stajemy, zapadam w sen, gwiazdy. W całej tej historii najbardziej mi szkoda nie dopitej herbaty, dziwne, jak mi szkoda. Myślę o tym całą noc i nienawidzę wojny. Cóż to za życie w zgrozie —

#### 3.8.20

Noc w polu. Jedziemy biedką na Brody. Miasto przechodzi z rąk do rąk. Ten sam straszny widok, zniszczone na poły miasto znowu czeka. Wodopój, na przedmieściu spotykam Barsukowa. Jadę do sztabu. Pusto, martwo, ponuro. Zotow śpi na krzesłach, jak umarły. Śpi Borodulin, śpi Polak. Budynek Banku Praskiego splądrowany i rozbebeszony; klozety, bankowe kontuary, kryształowe szyby.

Słyszę, że naczdyw w Klekotowie, spędziliśmy ze dwie godziny w opustoszałych, przeczuwających zagładę Brodach, herbata w razurze. Iwan stoi pod sztabem, jechać, czy nie jechać. Ruszamy na

Klekotów, skręcamy z leszniowskiej szosy, niepewność — to Polacy, czy nasi, jedziemy po omacku, konie zmordowane, jeden utyka coraz bardziej, jemy we wsi kartofle; pokazują się brygady, nieopisana uroda, groźna siła w ruchu, nieskończone szeregi, folwark, spustoszony majątek, młockarnia, lokomobila Clintona, traktor; lokomobila sprawna, upał.

Pole bitwy, spotykam naczdywa, gdzie sztab, Żołnarkiewicz zapodział się. Zaczyna się starcie, artyleria wali, bliskie wybuchy, groźna chwila, decydująca bitwa — zatrzymamy tę polską ofensywę, czy nie, Budionny do Kolesnikowa i Griszyna — bo rozstrzelam, obaj odchodzą piechotą, pobladli.

Jeszcze przedtem — straszne pole, usiane zarąbanymi, nieludzkie okrucieństwo, niewiarygodne rany, rozstrzaskane czaszki, młode, białe, nagie ciała błyszczą w słońcu, porzrucane notesy, kartki, książeczki wojskowe. Ewangelia, zwłoki w zbożu.

Wrażenia odbieram raczej rozumowo. Zaczyna się bitwa, dostaję wierzchowca. Widzę, jak ustawiają się w kolumny, tyraliery, idą do ataku, żal tych nieszczęsnych, nie ma ludzi, są szeregi, ogień wzmagają się do największej mocy, rąbanie towarzyszy wielką ciszą. Ruszam z miejsca; mówią, że naczdyw ma być odwołany?

Początek moich przygód, kieruję się w stronę szosy, razem z taborami, bitwa się wzmagają, znalazłem wodopój, na szosie mnie ostrzelano, gwizd pocisków, wybuchy o 20 kroków, poczucie bezradności, tabor galopem, przyłączyłem się do 20. pułku 4. dywizji, ranni, dowódca plutonu — nie, powiada, nie jestem ranny, potłukłem się, zawodowcy, a wciąż te pola, słońce, trupy, siedzę w kuchni, głód, surowy bób, nie ma paszy dla konia.

Kuchnia, rozmowy, siedzimy na trawie, pułk nagle rusza, trzeba mi jechać na Radziwiłłów, pułk idzie na Leszniów, jestem bezradny, lęk, że pozostanę w tyle. Wędrowanie bez końca, pyliste drogi, przesiadam się na furę; Quasimodo i dwa osły, bolesny widok — ten garbaty woźnica, milkliwy, o twarzy mrocznej, jak muromskie lasy.

Jedziemy, mam okropne wrażenie, że oddalam się od dywizji. Cicha nadzieja — potem będzie można odwieźć rannego do Radziwiłłowa, ranny ma bladą, żydowską twarz.

Wjeżdżamy do lasu pod obstrzałem, wybuchy pocisków o 100 kroków, błędzenie bez końca skrajem lasu.

Piach ciężki, nieprzebyty. Poemat o zameczonych koniach.

Pasieka, dłubiemy w ulach, cztery chałupy w lesie — nic w nich nie ma, wszystko zrabowane, proszę krasnoarmiejca o kawałek chleba, odpowiada, z Żydami nie ma nic wspólnego; jestem obcy, w długich spodniach, nie z naszych, samotny, jedziemy dalej, ze znużenia ledwie trzymam się w siodle, sam muszę dbać o konia, wjeżdżamy do Koniuszkowa, kradniemy jęczmień, mówią mi — a szukaj, a bierz sam, wszystko bierz — rozglądam się po wsi za siostrą, kobiety w hysterii, ledwie przyjdą, już po 5. minutach rabują, jakieś baby miotają się, zawodzą, szlochają nieznośnie, jak ciężko od nieprzerwanych okropności, szukam siostry, żal dręczy, ukradłem dowódcy pułku kubek mleka, wyrwałem synowi chłopki podpłomyk z ręki.

Po dziesięciu minutach wyjeżdżamy. No i masz! Polacy gdzieś blisko. Znow się cofamy, myślę, że już nie wytrzymam, a jeszcze kłusem, z początku przy dowódcy, później trzymam się taboru, chcę przesiąść się na furmankę, zawsze ta sama odpowiedź — konie zmordowane, chcesz się, to musisz mnie zepchnąć, dobrze, kochany, siadaj, tylko, że tu zabici, patrz pod derkę, a tam trupy.

Wyjeżdżamy na pole, sporo taborów 4. dywizji, bateria, znow kuchnia, szukam siostry, ciężka noc, chcę spać, trzeba dać paszy koniowi, leżę, konie skubią piękną pszenicę, żołnierze w zbożu — bladzi, ledwie żywi. Koń zadręcza mnie, uganiam się za nim, trafiam na siostrę, śpimy na taczance, siostra — stara, łysa, chyba Żydówka, męczennica, te nieznośne przekleństwa, wozak ją spycha, konie płaczą się w uprzęży, wozaka nie można się dobudzić, grubianin, klnie, siostra powiada — nasi bohaterowie to ludzie okropni. Przykrywa go i śpią, obejmując się, nieszczęsna, stara siostra, nieźle by zastrzelić tego wozaka, wyzwiska, obelgi, ta siostrą nie z tej ziemi — zasypiamy. Budzę się po 2. godzinach — ukradli mi uzdę. Rozpacz. Świta. Jesteśmy o 7 wiorst od Radziwiłłowa. Jadę, gdzie oczy poniosą. Biedny koń, wszyscyśmy biedni, pułk rusza. Ja też ruszam.

Z tego dnia — opisać czerwonarmistę i powietrze.

#### 4.8.20

Jadę sam w stronę Radziwiłłowa. Trudna droga. Nikogo na szlaku, koń znużony, boję się, na każdym kroku można spotkać Polaków. Jakoś to poszło, w rejonie Radziwiłłowa nie ma żadnych wojsk, w miasteczku — niewyraźnie, posyłają mnie na stację; ludność skołowaciała, przywykła do ciągłych zmian. Szeko w aucie. Jestem w kwaterze Budionnego. Żydowski dom, panienki, fotografia grupowa z gimnazjum Buchtejowej, Odessa, serce zamarło.

Ale szczęście, dają kakao i chleb. Nowiny — mamy nowego naczdywa — Apanasenkę i nowego szefa sztabu — Szeko. Cudeńka.

Przyjeżdża Żołnarkiewicz ze szwadronem, jest w żalonym stanie, Zotow mówi mu, że jest śmieszny; to pójdę na Sucharewski rynek handlować plackami; co to za nowa szkoła, wy — powiada — umiecie tylko oddziały rozmieszczać; dawniej umiałem, teraz, bez rezerw, nie umiem.

Ma gorączkę, mówi to, czego mówić nie powinien, sprzeczka z Szeko, ten od razu podniósł głos, szef sztabu rozkazał wam zameldować się w sztabie; ja nie mam tu nic nikomu do przekazania, nie jestem szczeniakiem, żeby pętać się po sztabach, zostawił swój szwadron i odjechał. Odjeżdża stara gwardia, wszystko na złom, no i nie ma już Konstantego Karłowicza.

Jeszcze jedno wrażenie — i przykre, i pamiętne — przyjazd naczdywa na białym koniu, za nim — szarże ordynansowe. Cała kanalia sztabowa, łapiąca kury dla komandarma, ich stosunek do niego — protekcyjnalny, chamski, Szeko wyniośle pyta o przebieg operacji, a ten mu wyjaśnia z uśmiechem, wspaniała figura, postawny, a rozpacz. Wczorajsza bitwa — niezwykły sukces 6. dywizji — 1000 koni, 3 pułki zapędzone do okopów, przeciwnik rozbity, odepchnięty, sztab dywizji — w Chotyńiu. Czyj to sukces — Timoszenki, czy Apanasenki? Tow. Chmielnicki — Żyd, żarłok, tchórz, cham, przy komandarmie — kura, prosię, kukurydza, gardzą nim kurierzy, bezczelni kurierzy, jedyna troska tych wszystkich umyślnych, ordynansowych — to kury, słonina, żrą, upasieni; szoferzy żrą słoninę — wszyscy na ganku przed domem. Nie ma paszy dla konia.

Całkiem inny nastrój, Polacy cofają się, chociaż Brody w ich ręku, znów ich bijemy, Budionny poratował.

Chce mi się spać, nie mogę. Zmiany w życiu dywizji będą miały duże znaczenie. Szeko na podwodzie. Ja — ze szwadronem. Jedziemy na Chotyń, znowu klusem. Odwaliliśmy 15 wiorst. Mieszkam u Bachturowa. Jest przybity, nie ma naczdywa, on przeczuwa, że jego też to spotka. Dywizje w szoku, żołnierze milczą — ale czy to narasta? Nareszcie zjadłem kolację — mięso, miód. Opisać Bachturowa, Iwana Iwanowicza i Piotra. Śpię w stodole, nareszcie trochę spokoju.

#### 5.8.20 Chotyń

Spokojny dzień. Jem, włóczę się po zalanej słońcem wsi, wypoczynek, zjadłem obiad, zjadłem kolację — jest miód, mleko.

Najważniejsze — te wewnętrzne przemiany, wszystko do góry dnem.

Strasznie szkoda naczdywa. Kozacy się burzą, rozhowory po kątach, ciekawe zjawisko, zbierają się w grupy, szepczą między sobą. Bachturow jest zgnębiony, naczdyw był zuch nad zuchy, teraz dowódca nie wpuszcza za próg, z 600-6000<sup>1</sup>. Co za upokorzenie, w oczy mu powiedzieli, że zdrajca, Timoszenko tylko się zaśmiał; Apanasenko, postać nowa i wyrazista, brzydki, dziobaty, pasjonat, samolubny, ambitny, posłał proklamację do Stawropola i nad Don o bałaganie na zapleczu — po to, żeby w jego rodzinnych okolicach dowiedziano się, że został naczdywem. Timoszenko był łatwiejszy w obejściu, weselszy, przystępniejszy i w końcu może gorszy. Dwa typy ludzkie, nie lubili się chyba wzajemnie. Szeko rozwija skrzydła, niesłuchanie koślawe rozkazy, buta. Praca sztabu zupełnie inna. Odpadły tabory i kwatermistrzostwo. Lepin podniósł głowę — jest zły, tępy i użera się z Szeko.

Wieczorem muzyka i tańce. Apanasenko szuka popularności. Poszerza krąg przyjaciół, sam wybiera dla Bachturowa konia ze zdobycznych, teraz wszyscy dosiadają polskich, wspaniałe konie, szczupłe, wysokie, rude anglezy, nie do zapomnienia. Apanasenko urządza paradę.

Przez cały dzień — rozhowory o intrygach. List na zaplecze.

Tęskno za Odessą.

---

<sup>1</sup> Chodzi zapewne o wyolbrzymienie strat dywizji



Zapamiętać — figurę, twarz, radość Apanasenki, jego rozmiłowanie w koniach, jak kazał im paradować, jak wybierał dla Bachturowa.

O szarżach ordynansowych, co to wiążą swój los z „patronami”. Co zrobi teraz Michejew, kulawy Suchorukow, czy tacy jak Grebuszko, Tarasów, Iwan Iwanowicz z Bachturowem. Wszyscy idą tym śladem.

O polskich koniach, o szwadronach galopujących wśród kurzu na wysokich, złocistych, szczupłych, polskich koniach. Czupryny z czubem, łańcuszki, odzież szyta z dywanów.

W moczarach ugrzęzło 600 koni, nieszczęśni Polacy.

#### 6.8.20 Chotyń

To samo miejsce postoju. Oporządzamy się, podkuwamy konie, jemy, przerwa w operacjach.

Moja gospodyni — drobniutka, strachliwa, krucha kobieta, o łagodnym udreżonym spojrzeniu. Boże, jak ją dręczą żołnierze, to gotowanie bez końca, kradniemy jej miód. Wrócił do domu gospodarz, bomby z aeroplanu rozpędziły jego konie. Stary nie jadł pięć dni. Teraz znów idzie w świat szukać swoich koni. Epopeja. Stary dziadulek.

Upalny dzień, gęsta, biała cisza, radość w duszy, konie stoją, młóca dla nich owies, obok nich cały dzień śpią Kozacy, konie odpoczywają — to najważniejsze. Czasami mignie postać Apanasenki. W odróżnieniu od powściągliwego Timoszenki — to swój chłop, ojczulek dla żołnierzy.

Rano wyjeżdża Bachturow, za nim świta, przyglądam się pracy nowego wojenkoma — tępy, ale już okrzesany moskiewski robotnik; to jest sekret siły: szablonowe, ale wielkie wytyczne; trzech wojenkomów — koniecznie opisać utykającego Gubanowa, postrach pułku, zapamiętałego rębajłę, młodego 23-lata, skromnego Szyriajewa, przebiegłego Griszyna. Siedzą w ogródku, wojenkom zadaje pytania, plotkują, mówią z zadęciem o światowej rewolucji, gospodyni strząsa jabłko, bo prawie wszystkie już zjedli, sekretarz wojenkoma, drągał o dźwięcznym głosie, krząta się w poszukiwaniu prowiantu.

W sztabie nowa aura — Szeko pisze osobliwe rozkazy, górnolotne i gromkie, za to krótkie i energiczne, sugeruje swoje poglądy Rewwojensowietowi, podejmuje działania z własnej inicjatywy.

Wszyscy wzdychają za Timoszenką; buntu nie będzie.

Dlaczego nie opuszcza mnie ten ciężki smutek? Dlatego, że daleko od domu, dlatego, że obracamy wszystko w ruinę, idziemy jak wichur, jak lawa, znienawidzeni przez wszystkich, życie się rozpada, jestem na wielkiej, nie kończącej się stypie.

Iwan Iwanowicz siedząc na ławeczce opowiada o dniach, kiedy wydawał po 20, czy 30 tysięcy. Wszyscy oni mają złoto, wszyscy nagrabili się przy zajęciu Rostowa, przerzucali przez siodło worek z pieniędzmi i jazda. Iwan Iwanowicz ubierał i utrzymywał wiele kobiet. Noc, stodoła, pachnące siano, ale atmosfera jest ciężka, coś mnie gnębi, pewno smutna bezmyślność mojego życia.

#### 7.8.20 Beresteczko

Jest wieczór, 8. Dopiero co zapaliły się lampy w miasteczku. W sąsiednim pokoju modły żałobne. Mnóstwo Żydów, przeciągłe, bliskie sercu zaśpiewy, kiwają się, siedzą na ławkach, dwie świece, wieczna lampka na parapecie. Opłakują wnuczkę gospodarza, zmarła ze strachu po rabunku. Matka płacze w takt modlitwy, opowiada, stoimy przy stole, już dwa miesiące młóci mnie nieszczęście. Matka pokazuje mi fotografię zblakłą od łez i wciąż powtarza — niesłuchanie piękna, jakiś wasz oficer biegł wawozem, łomoty w nocy, wrywali ze snu, gmerali tu najpierw Polacy, potem Kozacy, bezustanne wymioty, aż wyzionęła ducha. I to najważniejsze u Żydów, że piękność, że drugiej takiej nie było w miasteczku.

Pamiętny dzień. Rankiem — z Chotyń do Beresteczka. Jadę z sekretarzem wojenkoma Iwanowem, drągowaty, żyrtły chłopak bez kręgosłupa, oberwaniec — i okazuje się, że to mąż śpiewaczki Komarowej; koncertowaliśmy razem, pošlę jej wezwanie (nieczytelne).

Zwłoki zabitego Polaka, trup straszny, wzdęty i goły, monstualny.

Beresteczko przechodziło kilkakrotnie z rąk do rąk. Historyczne pole bitwy pod Beresteczkiem,

kozackie mogiły. I najważniejsze, że wszystko się powtarza — Kozacy przeciw Polakom, więcej, chłop przeciw panu.

Miasteczka nie zapomnę. Kryte podwórce, długie, wąskie, cuchnące, wszystko to ma sto-dwieście lat, ludność lepiej zakorzeniona, niż w innych osadach, najważniejsza ta architektura, białe, bładniebieskie domki, uliczki, synagogi, chłopki. Życie ledwie, ledwie się organizuje. Tu życie było tęgie — solidni Żydzi, zamożne ukraińskie chochoły, niedzielne jarmarki, osobna warstwa rosyjskich mieszczan — garbarzy, handel z Austrią, przemysłnictwo.

Żydzi są tu mniej fanatyczni, w bogatszej odzieży, krzepcy, jakby nawet trochę weselsi, zgrzybiali starcy, kapoty, staruszki; wszystko tchnie dawnością, tradycją, miasteczko przesycone jest krwawą historią żydowsko-polskiego getta. Nienawiść do Polaków jest powszechna. Grabili, torturowali, dźgali aptekarza rozpalonym żelazem, igły pod paznokcie, wyrywali włosy, wszystko dlatego, że ktoś strzelał do polskiego oficera — co za idiotyzm. Polacy musieli zwariować, sami siebie tym gubią.

Prastary kościół, groby polskich oficerów za ogrodzeniem, świeże mogiły, usypane przed 10 dniami. Białe, brzozone krzyże. Wszystko to straszne. Plebania do szczytu zrujnowana, znajdują starodawne księgi, bezcenne łacińskie rękopisy. Ksiądz Tuzinkiewicz — znajduję jego fotografię, tęgi, przysadzisty, pracował tu 45 lat, wciąż w tej samej parafii, scholastyk, dobrana biblioteka, sporo łaciny, publikacje z 1860 roku, oto kiedy tu żył Tuzinkiewicz; plebania zabytkowa, ogromna, ciemne obrazy, zdjęcia ze zjazdów prałatów w Żytomierzu, podobizny papieża Piusa X, piękna twarz, cudowny portret Sienkiewicza — oto ekstrakt tego narodu. I na to wszystko kładzie się smród nędznej duszyczki Suchina. Jakże to wszystko jest dla mnie nowe — te księgi, dusza katolickiego patera, jezuita, staram się uchwycić duszę i serce Tuzinkiewicza, chwytam je w końcu. Lepin zaczyna raptem grać sentymentalnie na pianinie. Zresztą — śpiewa czasem po łotewsku. Śmiech bierze, gdy się przypomni jego bose nóżki. To bardzo śmieszna istota.

Koszmarna historia — ograbienie kościoła, rwą ornaty, drogocenne, lśniące szaty potargane, na ziemi, siostra miłosierdzia wyniosła trzy tłumoki, wydzierają podszewki, gromnice pokradzione, szuflady powyrywane, bulle wyrzucone na ziemię, pieniądze zaharapczone. Wspaniała świątynia — 200 lat, ileż ona przez ten czas widziała (rękopisy Tuzinkiewicza), ilu hrabiów i chłopów, przepyszne włoskie malarstwo, różowi księża lulający dzieciątka Jezus, wspaniały ciemny Chrystus, Rembrandt, Madonna w stylu Murillo, a może samego Murillo, i przede wszystkim — ci święci, zażywni jezuita, za kurtynką okropna figurka chińska w malinowym kontuszu, brodaty Żydek, kramik. Rozbita chrzcielnica, figura świętego Walentego. Kościelny dygocze jak ptak, skręca się cały, płacze rosyjskie słowa z polskimi, nie wolno mi tego dotknąć, szloch. Bestie, przyszli, żeby nagrabić, to takie proste; idą w gruzy stare bóstwa.

Wieczór w miasteczku. Kościół zamknięty, przed wieczorem idę do zamku hrabiów Raciborskich. 70-letni stary kawaler i jego 90-letnia matka. Było ich tylko dwoje, para wariatów, mówią ludzie. Opisać tę parę. Hrabiowski, staroświecki polski dom, na pewno ponad stuletni, poroża, jasne, antyczne malunki na plafonach, resztki trofeów myśliwskich, małe komnatki dla czeladzi, teraz na górę, kafelki, korytarze, ekskrementy na podłodze, żydowskie dzieci, fortepian Steinway, kanapy rozprute aż do sprężyn, zapamiętać białe, lekkie drzwi z dębu, francuskie listy z 1820 roku, *notre petit heros acheve 7 semaines*<sup>1</sup>.

Boże, kto to pisał, kiedy pisał. Rozdeptane lity, zabrałem, jak relikwie, stulecie, hrabina-matka, fortepian Steinway, park, sadzawka.

Nie mogę oderwać się od wspomnień — Hauptmann i jego „Helga”<sup>2</sup>.

Wiec w zamkowym parku, miasteczkowi Żydzi, tępy Winokurow, dzieci swawołą, wybory rewkomu, Żydzi nakręcają brody na palce, Żydówki słuchają słów o rosyjskim raj, sytuacji międzynarodowej i powstaniu w Indiach.

Niespokojna noc, ktoś kazał nam być w pogotowiu; sam na sam z chuderlawym meszuresem<sup>3</sup>, nagły wybuch krasomówstwa, o czym to on gadał?

<sup>1</sup> „Nasz mały bohater ma już 7 tygodni” — por. opowiadanie Babla „Beresteczko”

<sup>2</sup> Akcja sztuki Hauptmanna „Helga” dzieje się w Polsce

<sup>3</sup> Meszures — dozorca i posłaniec bozmczy

### 8.8.20 Beresteczko

Wciągamy się w życie miasteczka. Tu odbywały się jarmarki. Chłopki sprzedają gruszki. Płacą im od dawna już nieważnymi pieniędzmi. Tu kipiało życie — Żydzi eksportowali zboże do Austrii, przemycano towary i ludzi, granica blisko.

Niezwykłe szopy, piwnice.

Stałem na kwaterze u właścicielki zajazdu, ruda, chuda wywłoka. Ilczenko kupił ogórków, czyta przedwojenny „Żurnal dla wszystkich” i rezonuje na temat polityki gospodarczej: wszystkiemu winni Żydzi (...). Jakieś przygarnięte sieroty, matka niedawno umarła. Historia z aptekarzem, któremu Polacy wbijali szpilki pod paznokcie, pomyłki.

Upalny dzień, ludzie, krzątają się, zaczyna się ożywienie, będzie handel.

Synagoga, zwoje Tory, 36 lat temu zbudował ją rzemieślnik z Krzemieńca. Płacili mu 50 rubli na miesiąc, złote pawie, skrzyżowane dłonie, pradawne rodaje; u żadnego z tych szamesów nie widać entuzjazmu, wyjałowieni starcy; mosty do miasteczka, wszystko rozchwierutane, Polacy nadawali temu wszystkiemu dawno utracony koloryt. Staruszek, u którego zatrzymał się Koroczajew, zdegradowany naczdyw ze swoim żydowskim giermkim. Koroczajew był przewodniczącym Czerezwyczajki gdzieś w Astrachaniu, jeżeli podłubać, to się dopiero z niego posypie. Przyjaźń z Żydem. Pijemy herbatę u tego staruszka. Cisza i beztroska. Włóczę się po miasteczku, wewnątrz żydowskich chałup trwa nędzne i intensywne, nieśmiertelne życie, panienki w białych pończochach, kapoty; jak mało grubasów.

Patrole zwiadu wysyła się w stronę Lwowa. Apanasenko pisze orędzia do stawropolskiego komitetu wykonawczego, będziemy ścinać łby tym z zaplecza, jest w upojeniu. Bój pod Radzichowem, Apanasenko zuch — błyskawicznie roztrasował oddziały, omal nie powystrzelał cofającej się 14. dywizji. Zbliżamy się do Radzichowa. Moskiewskie gazety z 29 lipca. Otwarcie II kongresu Kominternu, nareszcie urzeczywistnia się jedność ludów, wszystko jasne: są dwa światy i wojna jest wypowiedziana. Będziemy wojować w nieskończoność. Rosja rzuciła wyzwanie. Ruszymy w głąb Europy, aby zdobyć świat. Czerwona Armia stała się czynnikiem o znaczeniu światowym.

Trzeba przyjrzeć się Apanasence. Ataman.

Cichy staruszek odprawia modły żałobne po wnuczce.

Wieczór, przedstawienie w hrabiowskim parku, amatorska trupa z Beresteczka, ordynans-bałwan, miasteczkowe panienki; robi się cicho, pożyłby tu człowiek i dociekl sedna.

### 9.8.20 Łaszków

Przenosiny z Beresteczka do Łaszkowa, Galicja. Ekwipaż naezdywa, goniec naczdywa Lowka — ten, co to cygani i ugania się za końmi. Jego opowieść, jak batożył sąsiada Stiepana, który był za Denikina strażnikiem, krzywdził ludność, a potem wrócił na wieś. „Ryziu-ryziu” nie pozwolili, więc bili go w więzieniu, posiekali plecy, skakali po nim, tańczyli; epicka rozmowa: dobrze ci, Stiepanie? Źle mi. A tym — coś się nad nimi hydował, dobrze było? Źle było. A czyś ty myślał, że tobie też źle będzie? Nie, nie myślałem. A trzeba było pomyśleć, Stiepanie, bo my tak uważamy, że jeżeli waszym w łapy wpadniemy, to nas zarzną; no tak (nieczytelne). A teraz, Stiepanie, to my cię wykończymy. Zostawili go już prawie zimnego. Druga opowieść — o siostrze miłosierdzia, Szurce. Noc, bitwa, pułki się szykują, Lowka na koźle faetonu, Szurki chłop jest ciężko ranny, oddaje Lowce swojego konia, odwożą rannego i wracają do bitwy. Ach, Szurka, raz się żyje, raz umiera. No, dobra. Szurka była w burdelu, w Rostowie, jeździ wierzchem z całym oddziałem, potrafi przepuścić przez łożko 15 po kolei. A teraz, Szurka, jedźmy, pułk się cofa, konie płaczą się w kolczastym drucie, przekłusował 4 wiorsty, wieś, siedzi, tnie drut, przejeżdża pułk, Szurka oderwała się od kolumny, Lowka szykuje kolację, żreć się chce, podjedli sobie, pogadali, no co, Szurka, daj no jeszcze razik. A dobra. Tylko gdzie?

Popędziła w ślad za pułkiem, Lowka poszedł spać. Jeżeli żona przyjedzie — to zabije.

Łaszków — zielone, słoneczne, spokojne, zamożne, galicyjskie sioło. Mieszkam u diakona. Żona dopiero co rodziła. Są przybici. Czysta, nowa chata, a w chacie pustki. Obok — typowi galicyjscy Żydzi. Myślą — czy nie jestem aby Żydem? Opowieść — była grabież, uciął łby dwóm kurom,

znalazł rzeczy w stodole, wykopał spod klepiska, zapędził wszystkich do chaty, zwykła historia, zapamiętać chłopczyka z pejsami. Opowiadają, że najważniejszy rabin mieszka w Bełzie. Powyrzynali rabinów.

Odpoczywamy, w mojej zagrodzie stoi 1 szwadron. Noc, lampka na moim stole, konie cicho prychają, to wszystko Kozacy z Kubania, razem jedzą, śpią, gotują, wspaniała, milcząca wspólnota. Wszyscy schłöpiali, wieczorami pełnym głosem śpiewają pieśni, podobne do pień cerkiewnych; oddanie dla koni, małe tobołki — siodło, rzędy, szabla w malowanej pochwie, szynel; śpię, otoczony nimi.

We dnie zasypiam w polu. Nie ma operacji, cóż to za piękna i potrzebna rzecz — taki wypoczynek. Kawaleria, konie odpoczywają od tego nieludzkiego wysiłku, ludzie — od okrucieństw, prowadzą wspólne życie, nuć pieśni cichym głosem, coś sobie wzajemnie opowiadają.

Sztab w szkole. Naczdyw u plebana.

#### 10.8.20 Łaszków

Wciąż odpoczywamy, patrole zwiadu — na Radzichów, Sokołówkę, Stojanów, wszystko w stronę Lwowa. Nadszedł meldunek, że Aleksandrowsk zdobyty; w sytuacji międzynarodowej gigantyczne komplikacje, czy to możliwe, że będziemy walczyć z całym światem?

Pożar we wsi. Pali się stodoła plebana, spłonęły dwa konie, szamoczące się co sił. Konia nie da się wyprowadzić z pożaru. Dwie krowy wyrwały się, jednej popękała skóra, pęknięcia krwawią, aż żal. Dym obleka całe sioło, jaskrawy płomień, czarne, wzdęte kłęby dymu, kupa drzewa, piecze policzki, wszystkie rzeczy z domu popa i z cerkwi wyrzucają na ziemię. Apanasenko w czerwonym kaftanie, w czarnej opończy, twarz gładko wygolona — straszne zjawisko, ataman.

Nasi Kozacy, ciężko na to patrzeć, kradną rzeczy z tylnego ganku, oczy płoną, wszystkim jakby niesporo, wstyd, ten tak zwany zwyczaj jest nie do wytrzebienia. Wszystkie feretrony, stare żywoty świętych, wszystkie ikony wyniesiono, dziwne, rozmalowane, białoróżowe, białobłękitne figurki, szpetne, o płaskich obliczach, jakby chińskich czy buddyjskich, masa papierowych kwiatów, czy cerkiew się zajmie, chłopki łamią ręce w milczeniu, ludzie wystraszeni i przycichli, biegają boso, każdy siada z wiadrzem koło swej chaty. Są apatyczni, przybici, obojętni, aż dziw; żeby się chociaż rzucili do gaszenia. Złodziejskie zapędy udało się powściągnąć — żołnierze, jak drapieżne zwierzęta, krążą w skupieniu wokół popowskich waliz, tam jest złoto, powiadają, u popa można brać; portret hrabiego Andrzeja Szeptyckiego, metropolity Galicji, magnat rycerskiego wyglądu z czarnym pierścieniem na dużej i rasowej dłoni. Staremu księdzu, żyjącemu w Łaszkowie od 35 lat, drży cały czas dolna warga, opowiada mi o Szeptyckim, że „nie jest wychowany” w polskim duchu, że z ruskich bojarów, „hrabia na Szeptycach”, dopiero później się spolszczyli, brat, naczelny dowódca polskich wojsk, Andrzej zaś powrócił do Rusinów. Własna stara kultura, cicha i trwała. Zaczny, inteligentny pop, trochę mąki, kura na czarną godzinę, chce pogadać o uniwersytetach, o Rusinach, biedak, ma na kwaterze Apanasenkę w czerwonym kaftanie. Nocą — niezwykle widok, coś dopala się jaskrawym ogniem na szosie, moja izba w blasku, pracuję, pali się lampka, spokój. Kubańcy śpiewają z uczuciem, ich smukłe postacie przy ogniskach, pieśni zupełnie ukraińskie<sup>1</sup>, konie zapadają w sen. Idę do naczdywa. Winokurow opowiada mi o nim — partyzant, ataman, buntownik, kozacka wolność, powstańczą dzicz, ideał — Dumenko<sup>2</sup>, nie zagojona rana — że trzeba podporządkować się organizacji, śmiertelna nienawiść do arystokracji, do popów i, przede wszystkim, do inteligencji, której w szeregach nie trawi. Apanasenko skończy uczelnię; bo to inaczej było za czasów Bohdana Chmielnickiego? Głęboka noc, godzina 4 rano.

#### 11.8.20 Łaszków

Pracowity dzień, siedzę w sztabie, piszę do upadku, dzień spokoju. Pod wieczór deszcz. W mojej izbie nocują Kubańcy, aż dziw — spokojni i wojowniczy, skrzątni, niemłodzi chłopci, wyraźnie ukraińskiej proweniencji.

<sup>1</sup> Kubańscy Kozacy są potomkami Zaporozców, przesiedlonych przez Katarzynę II znad Dniepru, dla walki z narodami północnego Kaukazu

<sup>2</sup> Borys Dumenko (1888—1920) — w czasie wojny domowej walczył nad Donem z białą armią kozacką.

O Kubańcach. Wspólnota, zawsze razem, pod oknem nocą i dniem prychają konie, cudowny zapach nawozu, słońca, śpiących Kozaków, dwa razy dziennie warzą ogromne wiadra polewki i mięsa. Nocą chodzą w gości. Pada bez przerwy, więc suszą się i jedzą wieczerzę w mojej izbie. Pobożny Kubaniec w miękkim kapeluszu, blade oblicze, jasne wąsy. Są pełni godności, towarzyscy, dzicy, ale jakoś bardziej pociągający, gospodarniejsi, niż Kozacy dońscy czy spod Stawropola, mniej też przeklinają.

Przyjechała siostra, wszystko jak na dłoni, to trzeba opisać. Jest wyświechtana, chce uciekać, kogo tam już z nią nie było — kwatermistrz, Jakowlew, ci przynajmniej odezwą się do człowieka i — to już okropne — Gusiew. Jest godna litości, chce się zwolnić, smutna, mówi bez sensu, chce o czymś ze mną pogadać i patrzy na mnie z ufnością, że niby jestem przyjacielem, a ci inni to (nieczytelne). Jak szybko zniszczyli kobietę, przytłamsili, odebrali urodę. Jest naiwna, głupia, bierze do serca nawet rewolucyjne frazesy, dziwaczka, dużo gada o rewolucji, pracowała w dziale kulturalno-oświatowym Czerezwyczajki, ileż tu zależności od mężczyzn.

Wywiad z Apanasenką. Bardzo interesujące. Trzeba to zapamiętać. Jego tępa, budząca strach twarz, jego krępa, silna sylwetka, przypomina tym lotnika Utoczkiną.

Jego ordynansi (Lowka), jego pyszne, złociste konie, pieczeniarze, ekwipaże, przygarnięty chłopak Wołodia, mały kozaczek z twarzyczką starca, klnie jak dorosły.

Apanasenko jest chciwy sławy, tu ją macie, tę nową klasę. Nie bacząc na wszystkie bieżące sprawy operacyjne — odrywa się na chwilę i znów do mnie wraca — organizator wojska, zawsze przeciw oficerom, 4 krzyże św. Jerzego, służbisty, podoficer, później, za Kiereńskiego, chorąży, przewodniczący pułkowego rewkomu, zrywał oficerom epolety, długie miesiące w stepach astrachańskich, bezwzględny autorytet, zawodowy żołnierz.

O atamanach, iluż ich tam było, zdobywali cekaemy, walczyli z białogwardzistami Szkuro i Mamontowem, weszli w szeregi Czerwonej Armii, heroiczna epopeja. To nie marksistowska rewolucja, to kozacki bunt, który chce wszystko zdobyć i niczego nie stracić. Nienawiść Apanasenki do bogatych, do inteligentów, nienawiść nie ugaszona.

Noc wśród Kubańców, słota, duszno. Dokucza mi jakiś dziwny świąd.

## 12.8. Łaszków

Czwarty dzień w Łaszkowie. Zabita deskami galicyjska wieś. Żyli lepiej od ruskich. Przyzwoite domy, rzetelność, respekt dla duchownych; uczciwi, ale bezkrwiści, dziecko moich gospodarzy, jak z rosołu wyjęte, jak też się urodziło i po co, położnica błada jak całun; wciąż coś gdzieś chowają, słychać skądś kwik prosiąt, gdzieś też chyba ukryli sukno.

Wolny dzień, dobrze być korespondentem, jeżeli tej roboty się nie zaniedba.

Trzeba pisać do gazety i skończyć życiorys Apanasenki.

Dywizja wypoczywa — jakaś cisza w sercu i ludzie jacyś lepsi — pieśni, ogniska, ogień w nocy, żarty, szczęśliwe i apatyczne konie, ktoś czyta gazetę, chodzą spacerowym krokiem, podkuwają konie. Jak to wszystko wygląda. Sokołów dostał urlop, daję mu list do domu.

Piszę o jakichś fajkach, o dawno zapomnianych rzeczach. Rewolucja? Bóg z nią, tak właśnie trzeba. Żeby tylko nie zapomnieć tego popa z Łaszkowa; niegolony, poczciwy, wykształcony, może i pazerny, ale co to za pazerność — kura, kaczka, domostwo, żył jak należy, śmieszne grawiury.

Tarcia między wojenkomem i naczydłem; wojenkom podniósł się i wyszedł z Knigą, podczas gdy Jakowlew czytał raport; Apanasenko poszedł po wojenkoma.

Winokurow — typowy wojenkom, trzyma się twardo swojej linii, chce przerobić i wychować 6. dywizję, walczy z partyzanckimi nawykami<sup>1</sup>, nieobrotny, zamęcza mnie kazaniami, niekiedy brutalny, wszystkim mówi „ty”.

## 13.8.20 Niwica

Nocą rozkaz — ruszać na Busk — 35 wiorst na wschód od Lwowa.

Ruszamy rankiem. Wszystkie 3 brygady ześrodkowano w jednym punkcie. Dosiadam konia Miszki, co prawda nauczył się cwałować, ale truchtem nadal nie umie, okropnie trzęsie. Cały dzień w siodle

<sup>1</sup> 6 dywizja została kamie rozwiązana pod Rokitną 10 10.1920 r. z powodu szerzącego się w jej szeregach bandytyzmu

przy naczdywie. Futor Porady. W lesie 4 nieprzyjacielskie aeroplany, strzelanina salwami. Trzech kombrygów — Kolesnikow, Koroczajew, Kniga. Kniga jest przebiegły, poszedł na Toporów bocznymi drogami, nigdzie nie spotkał nieprzyjaciela. Jesteśmy w futorze Porady, porozwalane chałupy, wyciągam z piwnicy jakąś staruchę, kapuściane gołąbki. Jestem z obserwatorem na stanowisku baterii. Nasz atak pod laskiem.

Niedobrze — bagna, kanały, konnica nie może rozwinąć szyków, piesze natarcie, niemrawe, czy to upada morale? Walka uparta, a jednak niezbyt ciężka (w porównaniu z wojną imperialistyczną<sup>1</sup>), pod Toporowem nacierają z trzech stron, nie dają rady, huraganowy ogień naszych dwóch baterii.

Noc. Wszystkie ataki nieudane. Na noc sztab przenosi się do Niwicy. Gęsta mgła.

Przenikliwy ziąb. Konno, droga przez lasy, ogniska i świece, siostry na taczankach, droga ciężka, po dniu niespokojnym i w końcu niefortunnym.

Cały dzień przez pola i lasy. Najciekawszy jest naczdyw, uśmiech, przekleństwa, krótkie okrzyki, chrząkania; zżyma się, denerwuje, pasjonuje się, odpowiedzialny za wszystko, gdyby on tam był, to by się udało.

Co zapamiętałem? Nocna jazda, jazgot bab w Poradach, kiedy zaczęto (tu przestałem pisać, o 100 kroków wybuchły dwie bomby zrzucone z aeroplanu. Jesteśmy na skraju lasu, na zachód od stacji Majdany) rabować im bieliznę; nasze natarcie, coś tam mglistego, nie budzącego prawie lęku, z od dali tyraliery, konni jeżdżą po łące, z daleka wszystko to wydaje się pozbawione sensu, wszystko to nie jest straszne.

Gdy podeszliśmy do samego miasteczka, zrobiło się gorąco, nadeszła chwila natarcia, chwila, kiedy zdobywa się miasto; burzliwy, gorączkowy, narastający, rozpaczliwy i beznadziejny stukot cekaemów, nieustanne wybuchy, a ponad tym wszystkim wysoko — cisza i nic nie widać.

Praca sztabu Apanasenki — co godzina idzie raport do komandarma; stara się.

Zziębnięci, wyczerpani przyjeżdżamy do Niwicy. Ciepła kuchnia, szkoła.

Czarująca żona nauczyciela, nacjonalistka, jest w niej jakaś wewnętrzna radość, gotując herbatę wypytuje nas, broni swojej mowy, wasza mowa harna i nasza też, a w oczach ciągle śmiech. I to w Galicji, jak dobrze, dawno już czegoś takiego nie widziałem. Śpię w klasie, na słomie, obok Winokurowa.

Mam katar. (...)

## 15.8.20

Piękna kaplica w budowie. Chwila przed wkroczeniem do Komarowa; już po strzelaninie — pędzę konno, całkiem sam — teraz spokój, dzień upalny, pogoda, dziwaczna cisza, ćmienienie w duszy, nikt mi zresztą nie wadzi, pola, lasy, okolica falista, steczki wśród trawy.

Plac przed kościołem.

Nadjeżdża Woroszyłow z Budionnym. Woroszyłow wszystkich beszta, jakby prał po pysku, gdzie wasza energia, w końcu aż bluzga, człek wybuchowy. Że wojsko w rozsypce. Sadzi susami i krzyczy. Budionny milczy, uśmiecha się, bardzo białe zęby. Apanasenko sumituje się, toć damy sobie radę, a wszystko — wrzeszczy — dlatego, że przeciwnika nie widać, straciliśmy kontakt, gdzie ta decydująca operacja?

Więc Apanasenko nic nie wart?

Straszne pogłoski. Jadę do miasteczka. Zgroza, niewymowna rozpacz.

Wczoraj byli tu Kozacy esauła Jakowlewa<sup>2</sup>. Urządzili pogrom. Rodzina Dawida Zyka. W mieszkaniu leży starzec o wyglądzie proroka, nagi, chrypiący astmatycznie, starucha z rozplatanym gardłem, dziecko z odrąbanymi palcami, niektórzy jeszcze dyszą, słodkawy i mdlący odór krwi, wszystko splądrowane, chaos, matka nad zarżniętym synem, zgięta w kabłąk staruszka, cztery trupy w szopie, krew pod czarną brodą, pławią się w krwi.

Żydzi na placu; jeden, który zniósł tortury i uszedł z życiem, chce mi wszystko pokazać, zastępuje go inny, jakiś dryblas. Rabin ukrył się, po jego domu też buszowali, aż do wieczora nie wychylał się z dziury. Piętnastcioro zabitych: 70-letni Icek Galer, Dawid Zyk — 45-letni szames, jego żona i

<sup>1</sup> W czasie I wojny światowej Babel służył ochotniczo w Szujskim pułku artylerii konnej.

<sup>2</sup> Ochotniczy oddział białych Kozaków dońskich walczył po polskiej stronie pod dowództwem Jakowlewa.

15-letnia córka, Dawid Trost, rzezak, jego żona. Ładna, nasamprzód ją zgwałcili. Jasny księżyc, po tamtej stronie muru ci ludzie dalej żyją. Jęki zza ściany. Wynoszą zwłoki; mieszkańcy w ciągłym strachu, panika. Co najbardziej uderza — to obojętność naszych, obdzierają trupy, gdziekolwiek przyjdą.

Ta sama nienawiść, ci sami Kozacy, ta sama srogość, a, prawda, wojska są przecież różne — ale to brednie. Życie tych miasteczek. Nie ma dla nich ratunku. Wszystko idzie w ruinę — Polacy też nie dali im spokoju. Dziewczęta i kobiety ledwie powłóczą nogami.

Wieczorem — gadatliwy Żyd z bródką; miał sklepik, jego córka wyskoczyła z piętra przed napastującym ją Kozakiem, połamała obie ręce. Takich wypadków było wiele. Jak tu wrzało życie, jakie było uładzone. Los żydostwa. Wieczorem jemy coś razem. Później herbata, siedzę i słucham, co mówi Żyd z bródką; pyta melancholijnie, czy handel będzie jeszcze dozwolony. Noc ciężka, niespokojna.

#### 18.8.20

Nie miałem czasu na pisanie. Ruszyliśmy w drogę. Od 13.8 wciąż w ruchu, bezkresne drogi, proporczyk szwadronu, konie Apanasenki, bitwy, folwarki, trupy. Czołowe natarcie na Toporów, Kolesnikow szarżuje, błota, jestem na punkcie obserwacyjnym, pod wieczór huraganowy ogień dwóch baterii. Polska piechota siedzi w okopach, nasi prą naprzód, wracają, koniuchy prowadzą rannych; Kozacy nie lubią nacierać z czoła, przeklęte okopy kurzą się dymem. To było 13. Dnia 14 dywizja posuwa się w stronę Buska, powinna dotrzeć tam za wszelką cenę, wieczorem jesteśmy o 10 wiorst. Tu ma się odbyć główna operacja: przeprawa przez Bug. Jednocześnie szukają brodu.

Czeska farma pod Adamami, śniadanie w budynku gospodarczym, kartofle z mlekiem. Suchorukow, który umie współżyć z każdym reżymem (nieczytelne), basuje mu Susłow i rozmaite Lowki. Zapamiętać najważniejsze — ciemne lasy, tabory w lasach, świece nad siostrami, łomot, tempo przemarszu. Stoimy na skraju lasu, konie żują, bohaterem dnia jest aeroplan, naloty nasilają się coraz bardziej, atak aeroplanów, kursują bez ustanku po 5, 6 sztuk, bomby o 100 kroków, dosiadam popielatego mierzynka, obrzydliwy koń. W lesie. Intryga z siostrą. Apanasenko z punktu zrobił jej chamską propozycję, przespała się z nim, jak mówią, a teraz odzywa się o nim z obrzydzeniem; ale jej się podoba Szeko, ona zaś podoba się wojenkomowi, który maskuje swoje zainteresowanie dla niej, prawiąc, że niby jest bezbronna, że nie ma własnej bryczki, ani opiekunów. Siostra rozpowiada, jak emablował ją Konstanty Karłowicz, zaopatrywał w prowiant, zabraniał pisać do niej, a listy wciąż jej ślali. Jakowlew podobał się jej strasznie, naczelnik wydziału rejestracji, jasnowłosy chłopak w czerwonej czapce, prosił o rękę i serce, łkając jak małe dziecko. Była tam jeszcze jakaś historia, ale niczego się o tym nie dowiedziałem. Epopeja z siostrą — najważniejsze, że krążą o niej gadki i że wszyscy nią pomiatają, własny woźnica z nią nie rozmawia; jej buciki, fartuszki; rozdaje wszystkim książkę Augusta Bebla „Kobieta i socjalizm”.

O kobietach w Armii Konnej, można napisać tom. Szwadrony szarżują, kurz, tętent, szable w dłoni, bluzgają przekleństwa, a one z zadartymi spódnicami mkną na samym przedzie, zakurzone, cystate, same kurwy, ale towarzyszki, i kurwy dlatego właśnie, że towarzyszki, to najważniejsze, obsługują tym, czym mogą, bohaterki — a jednocześnie pogardzane, poją konie, znoszą siano, reperują uprząż, kradną po kościołach i po domach.

Nerwowość Apanasenki, jego zamiłowanie do wyzwisk: czy to jest siła woli?

Noc znowu w Niwicy. Śpię gdzieś na słomie, bo mam w głowie pustkę, wszystko na mnie w strzępach, całe ciało boli, STO wiorst w siodle.

Nocuję z Winokurowem. Jego stosunek do Iwanowa. Kim jest ten żarłoczny i godny politowania, wysoki młodzieniec o miękkim głosie, przywiedleń duszy i bystrym umyśle? Wojenkom traktuje go niesłychanie szorstko, klnąc bezustannie i ordynarnie, czepiając się wszystkiego; co ty, kurwa mać, nie wiedziałeś, nie załatwiłeś, zabieraj manatki, bo wypędzę na zbity pysk.

Trzeba zgłębić duszę tych żołnierzy, zgłębiam, wszystko to straszne, bestie z zasadami.

W ciągu nocy 2. brygada zdobyła Toporów z naskoku. Niezapomniany ranek. Wpadamy cwałem. Straszne, okropne miasteczko, Żydzi na progach, jak trupy, myślę sobie: co też jeszcze z wami będzie, czarne brody, zgięte grzbiety, rozwalone domostwa, a obok (nieczytelne) resztki niemie-

ckiej zasobności i jakieś niewyraźne, tradycyjne i pałace żydowskie nieszczęście. Zaraz obok klasztor. Apanasenko promienieje. Defiluje 2 brygada. Czupryny z czubem, frence z dywanów, czerwone mieszki, krótkie karabiny, dowódcy na pięknych koniach, budionnowskie wojsko. Parada, orkiestry, witajcie synowie rewolucji. Apanasenko promienieje.

Za Toporowem — lasy, drogi, sztab przy drodze, umyślni, komendanci brygad, wpadamy cwałem do Buska, do jego wschodniej części. Jakie zachwycające miasto (18, leci areoplan, zaraz będzie zrzucał bomby). Czyste Żydówki, sady pełne grusz i śliw, promienne południe, firanki, w domach resztki mieszczańskiej, czystej i być może uczciwej prostoty, lustra. Kwaterujemy u grubej Galicjanki, wdowy po nauczycielu. Szerokie kanapy, mnóstwo śliwek, nieprzytomne zmęczenie od ciągłego napięcia (przeleciał pocisk armatni, nie wybuchł), nie mogłem zasnąć, leżałem pod ścianą, za nią konie, wciąż wspominając kurz na drodze, i obozową, okropną przepychankę; kurz jest majestatycznym składnikiem naszej wojny.

Walka o Busk. Właściwe miasto jest po tamtej stronie mostu. Nasi ranni. Ładne rzeczy — miasteczko płonie. Jadę w stronę przeprawy — ostre wrażenie toczącej się bitwy, trzeba przebiec kawał drogi, bo jest pod obstrzałem, noc, pożar jaśnieje, konie stoją pod chatami, trwa narada z udziałem Budionnego, rewojensowiet wyjeżdża, poczucie zagrożenia. Nie zdobyto Buska atakiem frontalnym, zegnamy grubą Galicjankę i głęboką nocą jedziemy do Jabłonówki, nocujemy w jamie, na słomie. Naczdyw pojechał precz, my z wojenkomem nie mamy sił do dalszej jazdy.

1 brygada znalazła bród i przepравиła się przez Bug pod Pobużanami. Rankiem z Winokurowem w stronę przeprawy. Oto Bug — mała rzeczka, sztab na wzgórk, jestem znużony drogą, odsyłają mnie do Jabłonówki, mam słuchać zeznań jeńców. Niedobrze. Opisać, co czuje jeździec: znużenie, koń ledwie się wlecze, jechać trzeba daleko, sił brak, wypalony step, samotność, nikt nie pomoże, niezliczone wiorsty.

Przesłuchanie jeńców w Jabłonówce. Ludzie w samej bieliźnie. Są wśród nich Żydzi, jasnowłosi Polaczkowie, wyczerpani, inteligentny chłopak, tępa nienawiść przesłuchujących, zakrwawiona bielizna ранego, nie dają im pić, chłopak o pulchnej twarzy wtyka mi dokumenty. Szczęśliwi, myślę sobie — udało wam się ująć z życiem. Skupiają się wokół mnie, cieszy ich życzliwy ton mojego głosu, nieszczęsne pyłki, jaka różnica między Kozakami a nimi, delikatne toto.

Z Jabłonówki wracam taczanką do sztabu. Znów przeprawa, jadą w bród nieskończone tabory (nie czekają ani chwili, idą w ślad za nacierającymi oddziałami), grzęzną w rzece, rwą się postronki, kurz dławi, galicyjskie wsie, w jednej dają mi mleka, w innej dostają obiad, Polacy dopiero co z niej się wycofali, dokoła spokój, wieś zamarła, upał, cisza południa, we wsi ani żywej duszy, zadziwia właśnie ta nie zmacona niczym cisza, blask, spokój — jakby front był najmniej o 100 wiorst. Cerkwie we wsiach.

Dalej — pozycje przeciwnika. Dwaj goli, usieчени Polacy, o drobnych, pociętych szablą twarzach, bieleją w życie na słońcu.

Wracamy do Jabłonówki, herbata u Lepina. Brud. Czerkaszyn upokarza go i chce porzucić; jeśli przyjrzeć się — Czerkaszyn ma twarz straszną, w jego smukłej, wysokiej, tyczkowatej postaci widać chłopca, pijaka, złodzieja i chytrusa.

Lepin — brudny, tępy, drażliwy, trudno go zrozumieć.

Długie, rozwlekłe opowiadanie pięknego Bazkunowa; ojciec, Niżny Nowogród, kierownik działu chemicznego, Czerwona Armia, w niewoli u Denikina, życiorys rosyjskiego młodzieńca, ojciec był kupcem, wynalazcą, handlował z moskiewskimi restauracjami. Gawędziłem z nim przez całą drogę. Bo jedziemy na Milatyn, a po drodze — śliwy. W Starym Milatynie kościół, plebania, ksiądz mieszka wspaniale, tego nie zapomnę — raz po raz ściska mi dłoń, idzie właśnie odprawiać egzekwie po zabitym Polaku. Przysiada, wypytuje — czy nasz dowódca dobry, twarz typowo jezuicka, wygolony, niespokojne szare oczy — i miłe zjawisko — Polka, kuzynka prosząca z płaczem, żeby jej oddano cieliczkę, łzy i kokieterijny uśmiech, bardzo po polsku. Nie zapomnieć tej plebanii, jakieś bibeloty, miły półmrok, jezuicka, katolicka kultura, czyste kobiety, uperfumowany, przestraszony pater, klasztor naprzeciw. Chciałbym tu zostać. Czekamy na decyzję, gdzie stanąć — w Starym, czy Nowym Milatynie. Noc. Panika. Jakież tabory, Polacy gdzieś się wklinowali, na drodze wieża Babel, tabory w trzy rzędy. Jestem w milatyńskiej szkole, dwie ładne stare panny,



strach mnie obleciał, tak przypominały siostry Szapiro z Nikołajewa, dwie ciche, inteligentne Galicjanki, patriotki, kultura, sypialenka, może nawet papiloty, w tym tętniącym, rozwrzeszczanym Milatynie, za ścianami tabory, działa, ojcaszkowie-dowódcy opowiadają o swoich przewagach, pomarańczowy kurz w kłębach, nurzający się w kurzu klasztor. Siostry częstują mnie papierosami, piją z moich ust słowa o tym, że wszystko będzie wspaniale, piją jak balsam; już rozkwitają, więc zaczynamy po inteligencku rozmowę o kulturze.

Pukanie do drzwi. Komendant wzywa. Przestrach. Jedziemy do Nowego Milatyna.

Nowy Milatyn.

Z wojenkomem w hospicjum dla pielgrzymów, jakiś podwórzec, szopy, noc, sklepienia, księża gospodyni, ciemność, brud, roje much, znużenie, nieporównywalne z niczym frontowe znużenie.

Brzask, wyruszamy, powinniśmy przeciąć tory kolejowe — wszystko to dzieje się 17.8 — tory kolei Brody — Lwów.

Moja pierwsza bitwa, widziałem natarcie, koncentrują się wśród krzaków, do Apanasenki podjeżdżają komendanci brygad — ostrożny Kniga kombinuje, przyjeżdża, zasypuje słowami dowódcę, pokazują palcami pagórki — pod lasem, nad rozpadlinką wykryli pozycję wroga, pułki śmigają do szarży, szable w słońcu, pobladli dowódcy, twarde nogi Apanasenki, hurra.

Jak to było. Pole, kurz, sztab na skraju równiny, klnący na czym świat stoi Apanasenko; do kombrygów: zlikwidować mi tych drani, kuj ich w morde.

Nastroje przed walką, głód, upał, galopem do szarży; siostry.

Grzmiące „hurra”, Polacy rozbici, jedziemy na pole bitwy, drobniutki Polaczek przebiera polerowanymi paznokciami wśród rzadkich włosów na różowej głowie; odpowiada wymijająco, wykręca się, mamrocze, no, owszem. Szeko natchniony i blady: mów, jaką masz rangę — ja, zmieszał się, jestem czymś w rodzaju chorążego; oddalamy się, tamtego odprowadzają, za jego plecami chłopak o przyjemnej twarzy repetuje broń, ja krzyczę — towarzyszu Szeko! Szeko udaje, że nie słyszy, jedzie dalej, wystrzał, Polaczek w kalesonach pada w drgawkach na ziemię. Życ się odechciewa, mordercy, niesłychana podłość, przestępstwo.

Pędzą jeńców, zrywają z nich mundury, dziwny widok — oni rozbierają się sami bardzo szybko, kręcą głowami, wszystko to w pełnym słońcu; drobny nietakt, nasi dowódcy tuż obok, nietakt, ale w końcu głupstwo, przez palce. Nie zapomnę tego „w rodzaju chorążego”, zdradziecko zamordowanego.

Przed nami — straszne zdarzenia. Przecieliśmy linię kolejową pod Zadwórzem. Polacy przebijają się wzdłuż torów do Lwowa. Wieczorem atak koło folwarku. Pobojuwisko. Jeździłem z wojenkomem wzdłuż pierwszej linii, błagamy, żeby nie zabijać jeńców, Apanasenko umywa ręce, Szeko bąknął — dlaczego nie; odegrało to potworną rolę. Nie patrzyłem im w twarze, przebijali pałaszami, dostrzeliwali, trupy na trupach, jednego jeszcze obdzierają, drugiego dobijają, jęki, krzyki, charkot, to nasz szwadron szedł do natarcia, Apanasenko z boczku, szwadron przyodział się jak należy, pod Matuszewiczem zabito konia, więc biegnie ze straszną, brudną twarzą, szuka sobie wierzchowca. Piekło. Jakaż to wolność przynosimy, okropieństwo. Przeszukują folwark. Wyciągają z ukrycia, Apanasenko — nie trać ładunków, zarznij go. Apanasenko zawsze tak mówi — siostrę zarznąć, Polaków zarznąć.

Nocujemy w Zadwórzcu, marna kwatery, jestem u Szeki, dobre zaprowiantowanie; bezustanne walki, żyję po żołniersku, jestem zupełnie wyczerpany, biwak w lesie, cały dzień nic nie jemy, przyjeżdża wolant Szeki, podwozi, jestem często na punkcie obserwacyjnym artylerii, praca baterii, pobrzeża lasów, dolinki, cekaemy koszą, Polacy bronią się w głównej mierze akcjami lotnictwa, aeroplany stają się groźne, opisać nalot: daleki i jakby zwolniony terkot karabinów maszynowych, panika w taborach, nerwy, lecą wciąż lotem koszącym, chowamy się przed nimi. Nowe zastosowanie lotnictwa, wspominam naszego Moszera; kapitan Faunt-le-Roy startuje ze Lwowa. Nasze wędrówki z brygady do brygady. Kniga tylko z flanki, Kolesnikow tylko frontalnie, jedziemy z Szeko na zwiady, nieprzebyte lasy, śmiertelne niebezpieczeństwo, na wzgórzach przed szarżą kule świszczą koło uszu; boleściwa mina Suchorukowa z szablą, ciągnę w ślad za sztabem. Czekamy na meldunki, a oni w ciągłym ruchu, przemykają się bokiem.

Walka o Barszowice. Po całodziennym wahaniu, pod wieczór Polacy całymi kolumnami zaczynają

przebijać się na Lwów. Apanasenko zorientował się i oszalał, cały się trzęsie, brygady angażują wszystkie moce, chociaż mają do czynienia z cofającym się przeciwnikiem, rozciągają się nieskończonymi szeregami i wszystkie trzy idą do ataku. Apanasenko już triumfuje, chrząka z ukontentowaniem, rzuca do walki nowego kombryga 3, Litowczenko, w zastępstwie ранego Kolesnikowa, widzisz ich tam, idź i wytnij w pień, uciekają; koryguje ogień artylerii, wtrąca się do dyspozycji dowódców baterii, gorączkowe oczekiwanie, miał nadzieję, że powtórzy się historia pod Zadwórzem, ale się nie powiodło. Z jednej strony moczary, z drugiej morderczy ogień artylerii. Idziemy na Ostrów. 6 kawdywizja ma wziąć Lwów z południowego wschodu.

Kolosalne straty wśród dowódców: ciężko ranny Koroczajew, jego adiutant, Żyd — zabity, ranny dowódca 34. pułku, wszyscy komisarze 31. pułku ranni, ranni szefowie sztabów wszystkich brygad, u Budionnego dowódcy szarżują w pierwszym szeregu.

Ranni wloką się na taczankach. Więc to my mamy wziąć Lwów, meldunki do komandarma pisze się na trawie, brygady cwałują, rozkazy nadchodzą w nocy, znowu lasy, świst kul, ogień artylerii przepędza nas z miejsca na miejsce, nęka lęk przed nalotami, człowieka korci, żeby zleźć z konia, zaraz wybuchnie, przykry smak w ustach i już w nogi. Brak obroku dla koni.

Pojąłem nareszcie czym jest koń dla Kozaka i kawalerzysty.

Spieszeni jeźdźcy na pylistych, rozpalonych drogach, siodła w rękach, śpią jak zabici na cudzych podwodach, wszędzie gnijące ścierva końskie, mówi się tylko o koniach, zwyczajowe zamiany, hazard, koń — męczennik, koń — cierpiętnik, epopeje o koniach, sam przesiąknęłam tymi uczuciami, żal koni przy każdym przemarszu.

Wizyty Apanasenko ze świtą u Budionnego. Budionny i Woroszyłow na folwarku, siedzą przy stole. Apanasenko staje na baczność, raportuje. Fiasko akcji specpułku — planowali wypad na Lwów, w specpułku wartownicy, jak zwykle, spali, Polacy podwieźli cekaem na 100 kroków, zagarnęli konie, poranili połowę składu jednostki.

Święto Zbawiciela — 19 sierpnia — w Barszowicach, skatowana, ale jeszcze niedobita wieś, cisza, łąki, masa gęsi (zajął się nimi później Sidorenko, albo Jegor, ćwiartują gęsi szablą na desce, jemy gęś z garnka), ale tego dnia jeszcze bielili się pięknie w całym siole, na zielonych łąkach, mieszkańcy odświętnie przyodziani, ale zmarniali, widmowi, ledwie ośmielający się wyjść z domów, milczący, zdziwaczali, osłupiali i zgięci w barani róg.

Jest w tym święcie jakaś cisza i udręka.

Unicki pop w Barszowicach. Zniszczony, zapaskudzony sad, tu kwaterował sztab Budionnego, roztrzaskany, spalony ul, ten straszny, barbarzyński obyczaj — zostały mi w pamięci połamane ramki, tysiące pszczoł, buczących i tłukących się o rozbity ul, ich wzburzone roje.

Ksiądz wyjaśnia mi różnicę między obrządkiem unickim a prawosławnym. Szeptycki — to wielki człowiek, chodzi w parcianej sutannie. Grubasek, czarniawa, pulchna twarz, wygolone policzki, błyszczące oczka z jęczmieniem.

Posuwamy się w stronę Lwowa. Baterie podchodzą coraz bliżej. Nieudana potyczka pod Ostrowem, niemniej — Polacy wycofują się. Meldunki o obronie Lwowa — profesorowie, kobiety, młodzież. Apanasenko będzie ich wyrzynać — nienawidzi inteligencji, to siedzi w nim głęboko. Marzy o — na swój sposób arystokratycznym — chłopskim, kozackim państwie.

Mija tydzień ciągłych walk — 21 sierpnia, nasze oddziały są o 4 wiorsty od Lwowa.

Rozkaz — całą Armię Konną przekazuje się do dyspozycji Frontu Zachodniego<sup>1</sup>. Dyslokują nas na północ — w stronę Lublina. Tam trwa ofensywa. Spod miasta, do którego zostały tylko 4 wiorsty, zabierają armię, która tak długo o nie walczyła. Zastąpi nas 14. armia.

Czy to szaleństwo, czy chodzi o to, że konnica nie jest w stanie zdobyć miasta? 45 wiorst przemarszu z Barszowic na Adamy zapamiętam sobie na całe życie. Dosiadam mojego dereszowatego konika. Szeko jedzie wolantem, upał i kurz, kurz apokaliptyczny, duszące obłoki, nie kończące się tabory, wałą wszystkie brygady, kłęby kurzu, od których nie ma ratunku, człowiek dusi się. Posuwamy się wśród ogłuszającego łoskotu; zjeżdżam ze szwadronem w bok, przez pola, gubimy Szeko, zaczyna się najgorsze, jazda na moim opieszalym koniku, jedziemy bez wytchnienia

<sup>1</sup> Chodzi o rozkaz naczelnego dowódcy, Lwa Trockiego, mający na celu wspomoczenie Michaiła Tuchaczewskiego w bitwie warszawskiej. Zignorowanie rozkazu przez Stalina ułatwiło kontrofensywę Piłsudskiego znad Wieprza.

i wciąż klusem, tracę siły, szwadron chciałby wyminąć tabory, mijamy je poboczem, boję się zostać w tyle, koń biegnie jak puch, siłą bezwładu, ciągną wszystkie brygady, cała artyleria, zostawili w ariergardzie po jednym pułku; powinny dołączyć do dywizji po zapadnięciu zmroku. Przejeżdżamy nocą przez martwy, cichy Busk. Co jest osobliwością galicyjskich miast? Mieszanina niechlujnego, ociężałego Wschodu (Bizancjum i Żydzi) z niemieckim Zachodem piwoszków. 15 kilometr od Buska. Nie wytrzymam. Zamieniam się na konie. Ten znów nie ma skóry na siodle. Męcząca jazda. Raz po raz zmieniam dosiad. Popas w Kozłowie. Ciemna chata, chleb z mlekiem. Jakiś chłop, łagodny i uprzejmy człowiek, był w niewoli w Odessie, leżę na ławie, spać nie sposób, mam na sobie cudzy frencz, konie w ciemnościach, w chacie duszno, dzieci na podłodze. Przyjeżdżamy do Adamów o 4. w nocy. Szeko śpi. Stawiam byle gdzie konia, jest siano i kładę się spać w stodole.

#### 21.8.20 Adamy

Zastrachani Rusini. Słońce. Dobrze jest. Jestem chory. Odpoczynek. Dzień cały w stodole, wysypiam się, pod wieczór lepiej, choć łupie w głowie, ból. Kwateruję u Szeki. Fagas szefa sztabu, Jegor. Strawy nie brak. Jak się w nią zaopatrujemy. Worobiow przejął 2. szwadron. Żołnierze radzi. W Polsce, tam, dokąd idziemy — można się nie krępować, z Galicjanami zaś, Bogu ducha winnymi, trzeba było postępować oględniej. Wypoczywam, nie trzęsę się w siodle.

Rozmowa z dowódcą dywizjonu artyleryjskiego, Maksymowem; nasza armia idzie na rozdobędę, to nie rewolucja, tylko bunt dzikiego sobiepaństwa.

Jest to po prostu dźwignia, którą nie gardzi partia.

Dwaj z Odessy — Manujłow i Bogusławski, operacyjny wojenkom lotnictwa. Paryż, Londyn, przystojny Żyd, gaduła, artykuł w zachodnim piśmie, pomocnik szefa sztabu; Żydzi w Armii Konnej, wprowadzam ich w arkana. Nosi frencz, resztki fortuny odeskiej burżuazji, smutne nowiny z Odessy. Nie dają odetchnąć. Co z ojcem? Czy mu wszystko zabrali? Trzeba pomyśleć o domowych sprawach.

Jestem na łaskawym chlebie.

Apanasenko wystosował pismo do polskich oficerów. Bandyci, skończcie z tą wojną, poddajcie się, bo inaczej poszatkujemy was, polskie pany. Pisma Apanasenki nad Don i do Stawropola, że tam robią trudności bojownikom i synom rewolucji; my, bohaterzy nieustraszone, idziemy naprzód.

Opis biwakowania szwadronu, kwik świń, kradzione kury, agenci, półcie na placu.

Piorą bieliznę, młóca owies, cwałują ze snopkami; konie żują owies strzygąc uszami. Koń — to wszystko. Ich imiona: Stiepan, Misza, Braciszek, Starucha. Koń — to zbawca, to czuje się w każdym momencie, a jednak potrafią nieludzko je bić. O mojego konia nikt się nie troszczy. Nie bardzo dbają.

#### 22.8.20 Adamy

Pomocnika szefa sztabu, Manujłowa, boli brzuch. Oczywiście, służył u Murawiowa<sup>1</sup>, Czerezwyczajka, jakieś sprawy śledcze w sądach polowych, burżuj, kobiety, Paryż, lotnictwo, niewyraźna reputacja i to ma być komunista. Sekretarz Bogusławski trwożliwie milczy i zajada.

Spokojny dzień. Posuwamy się daleko na północ.

Mieszkam razem z Szeko. Nie mam sił do pracy. Jestem zmęczony, rozbity. Śpię i jem. Jak się żywimy. System. Szefowie kompanii, furazerzy, niczego nie dostarczają. Czerwonoarmiści wkraczają do wsi, przetrząsają wszystko, gotują całą noc, piece trzeszczą, co się nacierpią gospodarskie córki, wieprzki kwiczą, z kwitkiem do wojenkoma. Biedni Galicjanie.

Epopeja — jak się żywimy? A dobrze — świnię, kury, gęsi. „Szmaciarze”, „kozodoje” — ci, co zostali w tyle.

#### 23-24.8.20 Witków

Dojeżdżam do Witkowa podwodą. Instytucja podwód, nieszczęśni gospodarze, wloką ich z wozem po dwa, trzy tygodnie, zwalniają, dają przepustkę, a wtedy inni wojskowi znów ich biorą i ciągną ze sobą. Przypadek: za naszej bytności przyjechał syn, odesłany z taborów. Noc. Radość matki.

<sup>1</sup> Michaił Murawjow (1880—1918), dowódca Frontu Wschodniego, lewicowy eserowiec.

Kierujemy się do rejonu Krasnystaw— Lublin. Posyłają armię, co stała 4 wiorsty od Lwowa. Konnica nie mogła go zdobyć.

Droga do Witkowa. Słońce. Galicyjskie drogi, nie kończące się tabory, konie ze stadnin, spustoszona Galicja, Żydzi w miasteczkach, gdziegdzie ocalały folwark, powiedzmy, czeski. Grabież niedojrzałych jabłek, napad na pasiekę.

O pasiekach szczegółowo innym razem.

W drodze, na furmance, dumam o losach rewolucji. Z boleścią.

Miasteczko osobliwe, odbudowane z ruin według jednego planu, białe domki, strome, drewniane dachy, smutek.

Mieszkamy razem z pomocnikiem szefa sztabu, Manujłow nic się nie zna na pracy sztabowej, udręka z końmi, nikt ich nie chce dać, korzysta z podwód; Bogusławski w liliowych kalesonach, powodzenie u odeskich pańienek zapewnione.

Żołnierze domagają się igrzysk. Dają im chleb, bo ordynans wypadł z roli.

Noc szefa sztabu — gdzie jest 33 pułk, dokąd poszła 2 brygada, telefon, rozkaz, z dowództwa armii do kombrygów 1, 2, 3!

Dyżurni kurierzy. Struktura szwadronów, dowódcy szwadronów — Matuszewicz i były komendant Worobiow, wiecznie roześmiany i chyba głupi.

Noc szefa sztabu — wzywa was naczdyw.

### 23.8.20 Sokal

Nareszcie miasto. Mijamy miasteczko Tartaków. Żydzi, ruiny, czysto żydowskie typy, rasa, kramiki.

Wciąż jeszcze jestem niezdrów, nie mogę dojść do siebie po lwowskich walkach. Jak zatęchłe jest powietrze w tych miasteczkach. W Sokalu była piechota, miasto nie tknięte, szef sztabu dywizji na żydowskiej kwaterze. Książki, widzę książki. Stanałem u Galicjanki, przy tym zamożnej, dobry wikt, jemy kurę w śmietanie.

Jadę konno do centrum miasta, czysto, ładne budynki, wojna zaszargała wszystko, tu jeszcze pozostały ślady czystości i swoistego charakteru.

Komitet rewolucyjny. Rekwizycje i konfiskaty. To ciekawe: chłopów zostawiają w zupełnym spokoju. Cała ziemia do ich dyspozycji. Chłopstwo stoi z boku.

Proklamacja rewkomu.

Syn gospodarza jest syjonistą, *ein ausge-sprochener Nationalist*<sup>1</sup>. Zwyczajne żydowskie bytowanie. Zapatrzeni są w Wiedeń, w Berlin, ich młody kuzyn interesuje się filozofią i chce wstąpić na uniwersytet. Jemy masło i czekoladę. Karmelki.

Tarcia między Manujłowem i szefem sztabu. Szeko posyła go do jasnej cholery.

Mam swoją godność, powiada, nie dają mu spać, nie ma konia, też mi konna armia, chwili wytchnienia.

Książki — polskie, żydowskie.

Wieczorem — naczdyw w nowej kurtce, wypasiony, w kolorowych portkach, rumiany i tępy, zabawia się — muzyka nocą, ale deszcz rozpedził. Pada deszcz, nużący, galicyjski deszcz, siecze i siecze, bez końca, bez nadziei.

(Publikacja A. N. Pirożkowej)

---

<sup>1</sup> Zdeklarowany nacjonalista (niem).

„Czytelnik”, Warszawa 1990. Wydanie I  
Ark. wyd. 3,9; ark. druk. 10  
Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Ancyca w Krakowie  
Zam. wyd. 879; druk. 997/90  
Printed in Poland